



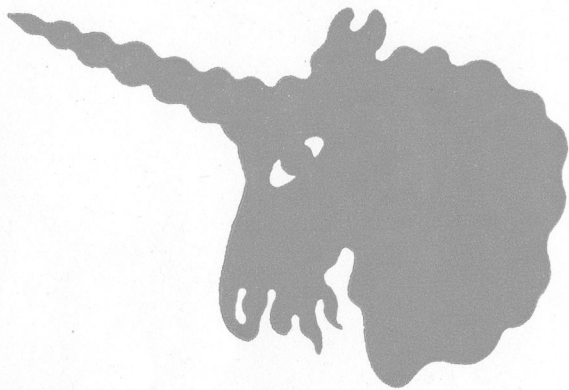
WYDAWNICTWA
ARTYSTYCZNE
I FILMOWE

af

André Gide

symfonia pastorałna

Państwowy
Instytut
Wydawniczy
Warszawa
1982



André Gide

Symfonia pastoralna

Przełożył
Marian Miszański

Ilustrowała
Joanna Majchrowska

Archie Gibe

Spontaneous

1978
MAY
1978
1978

Zeszyt pierwszy

10 lutego 189...

Śnieg pada bez przerwy już od trzech dni, zasypując drogi. Nie mogłem pojechać do R., gdzie zwykłem od piętnastu lat wykonywać swe obowiązki pastora, celebrując obrzędy dwa razy w miesiącu. Dziś rano zaledwie trzydziestu wiernych zebrało się w kaplicy La Brévine.

Korzystam więc z tych chwil, jakie niesie mi przymusowe odosobnienie, by cofnąć się w przeszłość i opowiedzieć, jak to się stało, że zaopiekowałem się Gertrudą.

Powziąłem postanowienie, by opisać tu wszystko, co dotyczy kształtowania się i rozwoju tej bogobojnej duszy, którą — wydaje mi się — uwolniłem z ciemności nocy li tylko dla uwielbienia i miłości. Niech Bóg będzie błogosławiony za to, że powierzył mi tę misję.

Dwa i pół roku temu, gdy wróciłem właśnie — pamiętam — z La Chaux-de-Fonds, przybiegła po mnie co tchu jakaś dziewczynka, której wcale nie znałem, prosząc, abym pojechał siedem kilometrów stąd, do biednej starowiny, która umierała. Nie zdążyłem nawet wyprząć konia; zabrałem więc jeszcze tylko latarnię, gdyż pomyślałem sobie, że być może nie wrócę przed nocą, i kazałem dziecku wsiadać do bryczki.

Sądziłem, że znam wyśmienicie wszystkie okolice gminy, ale gdyśmy minęli folwark Sau-

draie, dziewczynka poprowadziła mnie drogą, w którą nigdy do tej pory nie zapuszczałem się. Poznałem jednak, dwa kilometry dalej, nieco po lewej stronie, małe tajemnicze jezioro, gdzie w młodzieńczym wieku przychodziłem niekiedy pojeździć na łyżwach. Nie widziałem go już od dobrych piętnastu lat, gdyż żaden obowiązek duszpasterski nie wzywał mnie dotąd w te strony; nie byłbym nawet umiał powiedzieć, gdzie leży to jezioro, i do tego stopnia przestałem o nim myśleć, iż zdało mi się — gdy zachwycony różowozłotym blaskiem wieczoru rozpoznałem nagle to miejsce — że widziałem je przedtem tylko we śnie.

Droga biegła teraz wzdłuż strumienia, który wypływał z jeziora przecinając skraj lasu, potem prowadziła obok torfowiska. Z pewnością nigdy nie dotarłem aż tutaj.

Słońce zachodziło już i jechaliśmy od dłuższego czasu w mroku, aż wreszcie moja młoda przewodniczka wskazała mi palcem na zboczach pagórka jakąś chałupę, którą można by uznać za nie zamieszkaną, gdyby nie wydobywająca się z niej wąska strużka dymu, sina w mroku, a wyżej — płowiejąca w przedwieczornym wyłoceniu nieba. Przywiązałem konia do pobliskiej jabłunki, potem udałem się za dzieckiem do ciemnej izby, gdzie starowina właśnie oddała ducha.

Powaga krajobrazu, cisza i uroczysty nastrój tej wieczornej pory przejęły mnie na wskroś. Jakaś kobieta, jeszcze młoda, klęczała przy łóżku. Dziewczynka, moja przewodniczka, którą brałem początkowo za wnuczkę zmarłej, a któ-

ra okazała się być tylko jej służącą, zapaliła kopcającą świecę, po czym stanęła w nogach łóżka i nie ruszała się z miejsca. Podczas naszej długiej drogi próbowałem wdać się z nią w rozmowę, lecz nie udało mi się wydobyć z niej nawet kilku składnych zdań.

Kłęcząca kobieta wstała. Nie była to krewna, jak początkowo przypuszczałem, ale po prostu sąsiadka, przyjaciółka, po którą pobiegła służąca widząc, że jej pani słabnie, i która zaofiarowała się czuwać przy zwłokach. Powiedziała mi, że staruszka zgasła bez cierpienia. Uzgodniliśmy razem, jakie niezbędne przygotowania należy przedsięwziąć do pochówka i uroczystości pogrzebowych. Jak to często zdarza się w tych zapadłych stronach — do mnie należało decydować o wszystkim. Byłem trochę zawstydzony, wyznaję, że pozostawiam ten dom, choć na pozór tak ubogi, jedynie na straży sąsiadki i służącej, jeszcze dziecka. Wszakże nie wydawało się prawdopodobne, by w jakimś zakamarku tego nędznego domostwa ukryty był skarb... Cóż jednak miałem robić? Zapytałem tedy, czy starowina nie pozostawiła jakiegoś spadkobiercy.

Sąsiadka wzięła świecę i oświetliła kąt izby, gdzie ledwo mogłem odróżnić skuloną przy kominku jakąś niewyraźną postać, która wydawała się pogrążona we śnie; gęste włosy zakrywały niemal zupełnie twarz.

— Ta niewidoma dziewczynka, bratanica, jak powiada służąca, to zdaje się, cała rodzina. Trzeba ją będzie umieścić w przytułku; inaczej nie wiem doprawdy, co z nią się stanie.

Obruszyłem się słysząc, jak w ten sposób decyduje o losie niewidomej w jej obecności; byłem zakłopotany, gdyż te brutalne słowa mogły jej sprawić przykrość.

— Niech jej pani nie budzi — powiedziałem cicho, by zachęcić sąsiadkę przynajmniej do zniżenia głosu.

— Och, wcale nie myślę, że śpi; ale to idiotka: nic nie mówi i niczego nie rozumie z tego, co się do niej mówi. Od samego rana, od kiedy jestem w tej izbie, nawet nie drgnęła. Z początku myślałam, że jest głucha. Służąca twierdzi jednak, że ona słyszy, tylko że starszuszka, sama głucha, nigdy nie odzywała się do niej nawet słowem ani do nikogo innego zresztą, od dawna już otwierała usta jedynie po to, by napić się albo zjeść.

— Ile ona ma lat?

— Z piętnaście... Zresztą wiem tyle co pan, pastorze.

Nie przyszło mi jeszcze wówczas na myśl, by zatroszczyć się samemu o tę biedną opuszczoną istotę; ale pomodliwszy się — lub raczej, dokładniej mówiąc, kiedy odmawiałem modlitwę klęcząc między sąsiadką a małą służącą u wezglowia łóżka — wydało mi się nagle, że sam Bóg umieścił na mej drodze pewien rodzaj zobowiązania i że tchórzostwem byłoby uchylić się od niego. Kiedy podniosłem się, powziąłem już byłem decyzję: zabrać dziecko jeszcze tego samego wieczora, chociaż nie zadałem sobie wyraźnie pytania, co pocznę z nią później ani czyjej pieczy mógłbym ją powierzyć.

Jeszcze przez kilka chwil przypatrywałem się uśpionemu obliczu starej, której usta, pobrużdżone i zapadnięte, przypominały ściągniętą rzemykami sakiewkę skąpca, nauczoną, by nie wypuszczać niczego. I kierując wzrok ku niewidomej, podzieliłem się swym zamiarem z sąsiadką.

— Lepiej, żeby jej tu już nie było, kiedy przyjdą jutro wyprowadzać zwłoki — powiedziała. I to było wszystko.

Jakże łatwo dokonywałoby się wielu czynów w życiu, gdyby nie chimeryczne obiekcje, w których niekiedy lubują się ludzie. Ileż to razy, od samego dzieciństwa, rezygnujemy z tego czy owego przedsięwzięcia, którego chcieliśmy dokonać, po prostu dlatego, że słyszymy wokół: On nie potrafi tego dokonać...

Niewidoma pozwoliła się zabrać zupełnie jak jakiś bezwolny tobół. Rysy jej twarzy były regularne, dosyć ładne, ale całkowicie pozbawione wyrazu. Wziąłem nakrycie siennika, na którym zapewne sypiała w rogu izby, pod wewnętrzными schodami prowadzącymi na strych. Sąsiadka okazała się uprzejma i pomogła mi otulić ją starannie, gdyż noc, bardzo jasna, była chłodna; i zapaliwszy latarnię ruszyłem w drogę powrotną, zabierając ze sobą przytulony do mnie ów worek ciała bez duszy, w którym wyczuwałem życie jedynie przez obcowanie z mrocznym ciepłem. Całą drogę myślałem: czy śpi? I jakimż to czarnym snem... I czym czuwanie różni się u niej od snu? Uwięziona w tym nieprzeniknionym ciele dusza czeka bez wątpienia, aż dotknie jej wreszcie promień

Twej łaski, Pani! Czy pozwolisz, aby to właśnie moja miłość, być może, odsunęła od niej tę straszną noc?...

Zbyt droga jest mi prawda, bym miał przemilczeć przykre przyjęcie, jakiego doznałem po powrocie do domu. Moja żona to uosobienie dobroci, prawdziwy ogród cnót; nawet w trudnych chwilach, które zdarzyło nam się czasem przeżywać nigdy ani przez chwilę nie wątpiłem w przymioty jej serca. Ale jej wrodzona miłość bliźniego nie lubi być zaskakiwana. Jest to osoba akuratna, przywykła do porządku, która stara się nie przekraczać w żadną stronę granic powinności. Nawet jej miłosierdzie jest wydzielane, jak gdyby miłość była skarbem wyczerpywalnym. To nasza jedyna sporna kwestia...

Gdy tylko zobaczyła mnie tego wieczora, powracającego z małą u boku, jej pierwsza myśl wyrwała się w okrzyku:

— Czym tyś się znowu obarczył?!

Jak zwykle, gdy mamy wyjaśnić sobie jakieś nieporozumienia, zacząłem od tego, że kazałem najpierw wyjść dzieciom, które stały obok z otwartymi buziami, pełne ciekawości i zdziwienia. Ach! Jakże to przyjęcie dalekie było od tego, jakiego bym sobie życzył! Jedyne moja kochana mała Karolina zaczęła tańczyć i klaskać w dłonie, gdy pojęła, że oto ktoś nowy, jakaś żywa istota wysiada z bryczki. Ale pozostali, już urobieni przez matkę, szybko zmrozili ją spojrzeniami i ostudzili jej zapał.

Nastąpiła chwila wielkiego zamieszania. A ponieważ ani moja żona, ani dzieci nie wie-

działy jeszcze, że mają do czynienia z niewidomą, nie rozumiały, dlaczego z tak wielką ostrożnością kieruję jej krokami. Sam zresztą byłem zupełnie zbity z tropu dziwnymi pojękowaniami, jakie zaczęła wydawać biedna ka-leka, gdy tylko puściłem jej rękę, którą trzymałem w swej dłoni przez całą drogę. Jej pi-ski nie miały w sobie nic ludzkiego; można by powiedzieć — żalosne skomlenie małego psia-ka. Z chwilą gdy oderwana została od wąskie-go kręgu dotychczasowych, codziennych od-czuć, tworzących cały jej świat — ugięły się pod nią kolana; lecz gdy podsunąłem jej krze-sło, upadła na ziemię zupełnie jak ktoś, kto nie umie usiąść. Wtedy podprowadziłem ją do pa-leniska, i gdy tylko mogła przycupnąć w takiej pozycji, w jakiej ujrzałem ją po raz pierwszy przy kominku starowiny, odzyskała trochę spo-koju. Już zresztą w bryczce osunęła się pod koziół i spędziła tak całą drogę, przytulona do moich nóg.

Tymczasem moja żona pomagała mi w pierw-szym odruchu, który jest u niej zawsze najlep-szy; ale jej umysł bez przerwy walczy i często bierze górę nad głosem serca:

— Co zamierzasz zrobić z tym czymś? — podjęła temat, gdy mała usadowiła się już ja-ko tako.

Dusza we mnie zadrżała, gdy usłyszałem tę bezosobową formę, i ledwo powstrzymałem od-ruch oburzenia. Jednak opanowałem się prze-siąknięty długą, spokojną medytacją, którą snu-łem podczas drogi powrotnej, i zwróciwszy się do nich wszystkich, bo znów zebrali się wo-

kół, położyłem dłoń na głowie niewidomej, mówiąc najbardziej uroczystym tonem:

— Przyrowadzam zagubioną owieczkę.

Ale Amelia nie dopuszcza myśli, że może być w naukach Ewangelii cokolwiek, co byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem lub coś irracjonalnego. Spostrzegłem, że zamierza opowiadać, i wtedy właśnie dałem znak Jakubowi i Sarze, którzy — przyzwyczajeni do naszych drobnych sprzeczek małżeńskich, i zresztą niezbyt ciekawi ich natury (często nawet niewystarczająco ciekawi, moim zdaniem) — wyszli z izby zabierając dwójkę malców. A potem — potem ponieważ moja żona wydawała się nadal jeszcze zaszokowana i nieco rozgniewana obecnością niepożądanego gościa, dodałem:

— Możesz mówić przy niej; biedne dziecko niczego nie rozumie.

Wtedy Amelia zaczęła wypominać mi, że oczywiście ona w tym domu nie ma nigdy nic do powiedzenia — co jest zwykłym preludivium do dłuższych wymówek — i że nie pozostaje jej nic tylko jak zawsze zresztą — podporządkować się temu, co potrafię wymyślić, a co bywa zwykle najmniej praktyczne i najbardziej sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem... Mówiłem już, że nie miałem pojęcia, co dalej począć z tym dzieckiem. Nie rozważałem dotąd jeszcze możliwości (a jeśli już, to bardzo mgliście) pozostawienia jej w naszym domu. I właściwie powiedzieć mogę, że to Amelia pierwsza podsunęła mi tę myśl pytając, czy nie sędzę, że „jest nas już wystarczająco dużo w domu”. Później oświadczyła, że zawsze robi-

łem po swojemu, nie licząc się z tym, czy innym to odpowiada, i że ona ze swej strony uważa, iż pięcioro dzieci w domu wystarczy w zupełności, że od czasu narodzin małego Klaudiusza (który właśnie w tej chwili, jakby słysząc swe imię, rozplakał się w kołysce) ma już tego dosyć, a w ogóle to czuje się u kresu sił...

Od pierwszych zdań tych wyrzutów cisnęły mi się na usta słowa Chrystusa, powstrzymałem się jednak, gdyż zawsze wydawało mi się nie stosownym osłaniać swe postęпки autorytetem świętej księgi. Poza tym, gdy mówiła o swej udreće, nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć, bo przecież musiałem przyznać w głębi duszy, że często żona ponosiła konsekwencje nierozważnych porywów mojego zapału. To też zarzuty, jakie stawiała, przypominały mi o moich obowiązkach; poprosiłem więc łagodnie Amelię, by zastanowiła się, czy na moim miejscu nie postąpiłaby tak samo i czy mogłaby pozostawić w nędzy i opuszczeniu istotę, która bez wątpienia nie miała już na kim się oprzeć; dodałem, że zdaję sobie dobrze sprawę z ciężaru nowych obowiązków, które troska o tego ułomnego domownika dorzuci do codziennych domowych zmartwień, i że żałuję, iż nie mogę jej częściej pomagać. Wreszcie uspokoiłem ją, jak tylko mogłem, prosząc jednocześnie, by nie chowała do tego niewinnego dziecka urazy, na jaką to biedactwo niczym przecież nie zasłużyło. Potem dodałem jeszcze, że przecież Sara jest w takim wieku, że może jej wiele pomóc, a Jakub nie wymaga już większej opieki.

Krótko mówiąc, sam Pan Bóg włożył mi w usta słowa, jakich należało użyć, by pogodziła się z tym, czego — jestem pewien — sama podjęłaby się chętnie, gdyby wypadki pozostawiły jej czas do namysłu i gdybym nie narzucił jej swej woli tak niespodziewanie.

Uważałem już partię prawie za wygraną i już-już moja droga Amelia życzliwie zbliżała się do Gertrudy — lecz nagle jej irytacja wybuchnęła ze zdwojoną siłą, gdy wzięwszy lampę, by lepiej przyjrzeć się dziecku, zauważyła, że jest ono brudne nie do opisania.

— Ależ to istna plaga! — wykrzyknęła — Otrzep się, wyczyść się szybko! Nie, nie tutaj! Wyjdź na dwór. Ach, mój Boże! Jeszcze przejdzie na dzieci. Niczego w świecie nie brzydzę się bardziej niż robactwa...

Nie da się ukryć, że biedna mała była nim dosłownie oblepiona; i nie mogłem powstrzymać odruchu wstrętu na myśl, że tak długo tuliłem ją do siebie w bryczce.

Kiedy po chwili wróciłem wyczyszczeni starannie swe ubranie, zastałem żonę zagłębioną w fotelu, z głową ukrytą w dłoniach, szlochającą cicho.

— Nie chciałem poddawać twej cierpliwości podobnej próbie — odezwałem się do niej czule. — Tak czy inaczej dziś jest już późno i dobrze nie widać. Będę czuwał, żeby podtrzymać ogień, przy którym prześpi się mała. Jutro obetniemy jej włosy i umyjemy ją, jak należy. W każdym razie zaczniesz się nią zajmować dopiero wtedy, gdy będziesz już mogła patrzeć na nią bez odrazy.

I poprosiłem, by nie wspominała o tym dzieciom.

Była pora kolacji. Moja podopieczna, ku której nasza stara Rozalia usługując nam przy stole, rzucała nieprzyjazne spojrzenia, żarłocznie pochłonęła podsunięty jej talerz zupy. Posiłek upływał w milczeniu. Chciałem opowiedzieć moją przygodę, przemówić do dzieci, wzruszyć je, dając im do zrozumienia i odczucia niecodziennosc tak kompletnego ubóstwa, wzbudzić ich litość, sympatię dla tej, do przyjęcia której zaprosił nas sam Pan Bóg; ale obawiałem się ożywić na nowo irytację Amelii. Wydawało się, że wydany został rozkaz przemilczenia i puszczenia w niepamięć całego wydarzenia, chociaż nikt z nas z pewnością nie mógł myśleć o niczym innym.

Byłem bardzo wzruszony, gdy w godzinę później, kiedy wszyscy poszli już spać i Amelia zostawiła mnie samego w izbie, ujrzałem, jak moja mała Karolina uchyla drzwi i wślizguje się bezszelestnie, bosą, w nocnej koszulce — rzuciła mi się na szyję i gorąco mnie ściskając szepnęła:

— Nie powiedziałaś ci jeszcze dobranoc...

Później, wskazując czubkiem swego małego paluszka niewidomą, śpiącą niewinnie, którą ciekawa była zobaczyć przed snem, zapytała:

— Dlaczego nie pocałowałam jej na dobranoc?

— Uściskasz ją jutro. Na razie zostawmy ją w spokoju. Śpi — powiedziałem, odprowadzając małą do drzwi.

Usiadłem na powrót i pracowałem do rana, przygotowując się do kolejnego kazania.

Karolina — myślałem — wydaje się dziś najbardziej uczuciowa z całego rodzeństwa, ale czy któreś z nich w jej wieku było inne? Mój dorosły już Jakub, tak powściągliwy dziś i pełen rezerwy, nawet on... Uważa się je za wrażliwe, a one są po prostu przylepne i przymilne...

27 lutego

Tej nocy spadło jeszcze więcej śniegu. Dzieci są zachwycone, gdyż wkrótce — powiadają — trzeba będzie wychodzić przez okna. Rzeczywiście, dziś rano drzwi są zasypane i można wydostać się tylko przez pralnię.

Wczoraj upewniłem się, że wioska ma wystarczającą ilość zapasów, bo bez wątpienia zanosi się na to, że pozostaniemy przez czas jakiś zupełnie odcięci od reszty świata. Nie pierwsza to zima, kiedy zasypuje nas śnieg, ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział tak obfite opady. Skorzystam więc, by kontynuować to opowiadanie, które zacząłem wczoraj.

Powiedziałem już, że przyprowadzając tę kalekę nie zastanawiałem się zbyt, jakie miejsce mogłaby zająć w naszym domu. Rozumiałem moją żonę, jej próby oporu; znam skromną przestrzeń, jaką dysponujemy, i nasze źródła dochodów — nader ograniczone. Postąpiłem — jak zresztą czynię zawsze — kierując się nie tyle jakąś szczególną wrodzoną wrażliwością, co zasadami, nie próbując nawet liczyć wydatków, na które narażał nas mój szlachet-

ny poryw, bo taka kalkulacja wydawała mi się zawsze niezgodna z Ewangelią. Ale co innego znajdować oparcie w Bogu, a co innego wyręczać się bliźnimi. Rychło uzmysłowiłem sobie, że nałożyłem na barki Amelii ciężki obowiązek, tak ciężki, że sam nawet byłem nim początkowo speszony. Pomagałem jej, jak tylko umiałem najlepiej, przy obcinaniu włosów małej, gdyż dobrze widziałem, że robi to z obrzydzeniem. Ale gdy przyszło do mycia, musiałem pozostawić tę czynność żonie; i wtedy zrozumiałem, że omijają mnie najcięższe i najbardziej nieprzyjemne obowiązki. Amelia zresztą nie zgłaszała już najmniejszego sprzeciwu. Wydawało się, że przemyślała całą sprawę w nocy i pogodziła się z tym nowym ciężarem; a nawet sprawiała wrażenie, jakby znajdowała w nim jakąś przyjemność, bo widziałem, że uśmiecha się skończywszy ubieranie Gertrudy. Biały czepeczek nakrywał teraz ostrzyżoną główkę, w którą wtarłem trochę pomady; jakieś stare ubrania Sary i czysta bielizna zastąpiły brudne łachmany, które Amelia wrzuciła w ogień. To imię — Gertruda — wybrane zostało przez Karolinę i od razu zaakceptowane przez nas wszystkich; nie znaleźmy prawdziwego imienia sieroty, zresztą i ona sama go nie знаła — a ja nie wiedziałem, gdzie mógłbym je odnaleźć. Chyba była trochę młodszą od Sary, gdyż ubranie, z którego córka wyrosła już przed rokiem, było na nią dobre.

Muszę tu przyznać się do głębokiego zawodu, jakiego doznałem podczas pierwszych dni. Oczywiście — wydumałem sobie całą piękną

opowieść o tym, jak to będę wychowywał Gertrudę, ale rzeczywistość szybko sprowadziła mnie na ziemię. Obojętny, tępy wyraz jej twarzy — lub raczej zupełny brak wyrazu — mroziły już u źródła moją dobrą wolę. Całymi długimi dniami przesiadywała przy ogniu, jak gdyby w pozycji obronnej, i gdy tylko słyszała nasze głosy, a zwłaszcza gdy zbliżyliśmy się ku niej, rysy jej twarzy twardniały; a jeśli stawały się nieco bardziej wyraziste, to jedynie dla okazania wrogości. Gdy tylko próbowaliśmy zająć czymś jej uwagę, zaczynała skomleć i pomrukiwać jak zwierzę. Te dąsy ustępowały jedynie w porze posiłku, który podawałem jej sam i na który rzucała się ze zwierzęcą niemal łapczywością; był to widok w najwyższym stopniu przykry. I podobnie, jak miłością odpowiada się na miłość, czułem ogarniającą mnie niechęć wobec uporczywej odmowy tej duszy. Tak, to prawda — wyznaję — przez te pierwsze dziesięć dni przywiodła mnie do rozpacz, a nawet przestałem się nią interesować do tego stopnia, że żałowałem swego pierwszego porywu i wolałbym być nigdy nie sprowadzać jej do naszego domu. Doszło nawet do tego, że Amelia triumfując jakby nad moimi uczuciami, których nie umiałem ukryć — szafowała swą troskliwością tym bardziej i tym gorliwiej, wydawało mi się, odkąd zrozumiała, że Gertruda jest dla mnie ciężarem i że jej obecność wśród nas upokarza mnie.

Byłem właśnie w takim nastroju, gdy odwiedził mnie przyjaciel, doktor Martins z Val

Travers, przy okazji swych wizyt u chorych w tej okolicy. Bardzo zainteresował go przypadek Gertrudy; zdziwił się przede wszystkim, że jest tak dalece opóźniona w rozwoju będąc w końcu tylko niewidomą; ale wyjaśniłem, że do jej kalectwa przyczyniła się jeszcze głuchota starowiny, która zajmowała się małą i nigdy z nią nie rozmawiała, w wyniku czego biedne dziecko pozostawało w całkowitym zaniedbaniu. Przekonał mnie, że nie powinienem tak szybko tracić nadziei, należy tylko inaczej zabrać się do rzeczy.

— Chcesz zacząć budować — powiedział — nie zapewniwszy sobie najpierw solidnego gruntu. Pomyśl, że w tej duszy wszystko jest chaosem i że nie ukształtowały się jeszcze nawet jej pierwsze zarysy. Chodzi więc o to, by na początek połączyć w jedną wiązkę kilka prostych odczuć dotykowych i smakowych i przyczepić do nich na kształt etykietki jeden dźwięk, jedno słowo, które będziesz jej powtarzał aż do znudzenia, a potem postarasz się, by powtórzyła już sama.

Zwłaszcza nie staraj się działać zbyt szybko; zajmuj się nią regularnie, w ustalonych godzinach, lecz nigdy zbyt długo na raz...

— Zresztą ta metoda — dodał przedstawiwszy mi ją drobiazgowo — nie ma w sobie niczego czarodziejskiego. I to nie ja wymyśliłem ją, inni już ją stosowali. Nie pamiętasz? W czasach gdy studiowaliśmy razem filozofię, nasi profesorowie mówili już nam, w związku z Condillakiem i jego ożywioną statua, o przypadku podobnym do tego... O ile — zreflekt-

wał się — nie czytałem tego później w jakimś przeglądzie psychologicznym... Nieważne. Uderzyło mnie to wtedy i przypominam sobie nawet imię tego biednego dziecka, jeszcze bardziej upośledzonego niż Gertruda. Wziął je do siebie jakiś lekarz, nie pamiętam już z którego hrabstwa Anglii, w połowie ubiegłego stulecia. Nazywała się Laura Bridgeman. Ten doktor zaprowadził dziennik postępów dziecka, co i ty powinieneś uczynić, czy też, przynajmniej na początek — zapis swych własnych wysiłków. Podczas długich dni i tygodni lekarz ów upierał się, by zmusić ją do dotykania i obmacywania na przemian dwóch małych przedmiotów, szpilki i pióra, a potem do dotykania wytłoczonych na papierze, na użytek niewidomych, dwóch angielskich słów: *pin* i *pen*. I przez długie tygodnie nie uzyskiwał żadnego rezultatu. Ciało wydawało się nie zamieszkanе. Mimo to nie tracił wiary. Moje postępowanie — opowiadał — przypominało mi postępowanie kogoś, kto pochylony nad cembrowiną głębokiej i czarnej studni rzuca rozpaczliwie linę w nadziei, że wreszcie czyjaś ręka pochwyci ją. — Gdyż nie wątpił nawet przez chwilę, że ktoś tam jest, w głębi otchłani, i że ta lina zostanie wreszcie uchwycona... I pewnego dnia ujrzał nareszcie, jak kamienne oblicze Laury rozjaśnia się czymś na kształt uśmiechu; myśle, że w tym momencie łzy wdzięczności i miłości trysnęły mu z oczu, że upadł na kolana, by podziękować Panu. Laura zrozumiała nagle, czego oczekiwał od niej doktor. Była uratowana! Począwszy od tego dnia zaczęła pilnie

go słuchać; jej postępy były szybkie. Wkrótce uczyła się już sama, a potem została dyrektorką pewnego instytutu dla niewidomych. A może to był ktoś inny?... Bo niedawno miały miejsce i inne podobne przypadki, o których tygodniki i dzienniki rozpisywały się szeroko, dziwiąc się jeden za drugim — trochę głupio, moim zdaniem — że takie istoty mogą być szczęśliwe. Bo to prawda; każda z tych „zamurowanych” istot była szczęśliwa i gdy tylko dane jej było wypowiedzieć się jakoś, czyniły to przede wszystkim po to, by wyrazić swe szczęście. Naturalnie dziennikarze ekscytowali się, wyciągając stąd naukę dla tych, którzy, „ciesząc się” swymi pięcioma zmysłami, mają jeszcze czelność skarżyć się...

Tu wywiązała się między nami dyskusja, gdyż buntowałem się przeciwko jego pesymizmowi i nie mogłem zgodzić się z tym, że zmysły — jak to on dowodził — w ostatecznym rozrachunku przysparzają nam zmartwień.

— Wcale tak tego nie rozumiem — bronił się — po prostu chcę tylko powiedzieć, że dusza człowieka łatwiej i chętniej wyobraża sobie piękno, dostatek i harmonię niż nieład i grzech, które wszędzie rzucają cień, poniżają, plamią i rozdzierają ten świat, o czym dowiadujemy się dzięki zmysłom i w czym pomaga nam uczestniczyć pięć naszych zmysłów. I tak, chętniej kazałbym naśladować owych *Fortunatos nimium*¹ z Wergiliusza, co to *sua*

¹ *Fortunatos nimium* — zbyt szczęśliwi (Wergiliusz, *Georgiki*, ks. II w. 456—457). (Przyp. tłum.)

*mala nescient*¹, niż tych, którzy *sua bona norint*², gdzie poucza się nas: Jacyż szczęśliwi byłiby ludzie, gdyby nie dane im było poznać zła!

Później wspomniał o pewnym opowiadaniu Dickensa, które jego zdaniem zainspirował bezpośrednio przykład Laury Bridgeman i które obiecał przysłać mi jak najszybciej. Cztery dni później, rzeczywiście, otrzymałem *Świerszcza za kominem* i przeczytałem to opowiadanie z prawdziwą przyjemnością. Jest to trochę przydługa historia, chwilami nawet patetyczna, małej niewidomej, którą jej ojciec — biedny fabrykant zabawek — utrzymuje w złudzeniu komfortu, bogactwa i szczęścia; kłamstwo, które kunszt Dickensa usiłuje przedstawić jako zbożne, ale którego Bogu dzięki — nie będę musiał używać wobec Gertrudy.

Nazajutrz po odwiedzinach Martinsa zacząłem stosować jego metodę i przykładałem się do niej, jak tylko potrafiłem najlepiej. Żałuję teraz, że nie notowałem, jak mi radził, pierwszych kroków Gertrudy na tej mrocznej drodze, po której ja sam prowadziłem ją początkowo po omacku. Przez pierwsze tygodnie potrzebowałem znacznie więcej cierpliwości, niż można by uwierzyć — nie tylko z powodu czasu, jakiego wymagała ta edukacja, ale także z powodu licznych zarzutów, jakie na mnie ścia-

¹ *si sua mala nescient* — jeśli nie będą znać swych nieszczęść (op. cit.). (Przyp. tłum.)

² *si sua bona norint* — jeśli swe dobra poznają (op. cit.). (Przyp. tłum.)

gała. Z przykrością powiedzieć muszę, że zarzuty te spotykały mnie ze strony Amelii; zresztą jeśli opowiadam o nich tutaj, to właśnie dlatego, że nie zachowuję z tego powodu żadnej urazy ani żalu — zaświadczam to uroczyście na wypadek, gdyby te stronice zostały przez nią kiedyś przeczytane. (Czyż wybaczenie obelg nie jest nam zalecane wprost przez Chrystusa w dalszym ciągu przypowieści o zbłąkanej owcy?) Powiem więcej: nawet w chwili gdy najbardziej cierpiałem z powodu jej wymówek, nie mogłem do niej żywić urazy o to, że nie pochwała tego, iż tyle czasu poświęcam Gertrudzie. Miałem jej raczej za złe brak wiary w to, że moje starania mogą przynieść rezultaty. Tak, to właśnie ten brak wiary martwił mnie najbardziej, ale nie zniechęcał przecież. Jakże często wysłuchiwać musiałem jej słów: „I żeby to chociaż dawało jakieś wyniki...” Była święcie przekonana, że mój trud jest daremny; wydawało się jej, oczywiście, niestosowne, że poświęcam temu przedsięwzięciu czas, który — utrzymywała stale — mógłby być znacznie lepiej wykorzystany w inny sposób. Za każdym razem, gdy zajmowałem się Gertrudą, potrafiła wskazać mi sam nie wiem jakich ludzi i jakie sprawy, które właśnie na mnie czekały, i zarzucić mi, że marnuję czas dla „tej tutaj”, a powinienem poświęcić go innym. Wreszcie, myślę, kierował nią także pewien rodzaj matczynej zazdrości, gdyż wiele razy wysłuchiwać musiałem jej gorzkich słów: „Nigdy nie zajmowałeś się tyle żadnym ze swoich własnych dzieci”.

Było to prawdą; bo chociaż kocham bardzo moje dzieci, nigdy nie uważałem, że powinienem się nimi wiele zajmować.

Niejednokrotnie doświadczyłem, że przypowieść o zbłąkanej owcy pozostaje jedną z najtrudniejszych do przyjęcia dla niektórych istot, chociaż uważają się za głęboko religijne. To, że każda owca z osobna może być w oczach pasterza bardziej cenna niż cała reszta stada razem wzięta — oto co przekracza ich zdolność rozumienia. Czyż tych słów: „Jeśli ktoś ma sto owiec i jedna z nich zbłąka się, opuszcza pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć w górach i idzie szukać tej, która się zbłąkała” — czyż tych słów, zgoła promieniujących miłością bliźniego, nie ogłosiliby jako najbardziej oburzającą niesprawiedliwość, gdyby tylko ośmielili się mówić szczerze?

Pierwsze uśmiechy Gertrudy pocieszyły mnie i wynagrodziły stokrotnie moje wysiłki. Gdyż „ta owca, jeśli pasterz ją znajdzie, zaprawdę, powiadam wam, sprawia mu więcej radości niż pozostałych dziewięćdziesiąt dziewięć, które nigdy nie pogubiły się”. Tak, mówię szczerze: nigdy uśmiech żadnego z moich własnych dzieci nie napełnił mi serca tak anielską radością jak ten, który zakiełkował pewnego ranka na jej posągowej twarzy, gdy zaczęła nagle rozumieć i interesować się tym wszystkim, czego usiłowałem nauczyć ją od tyłu dni.

5 marca. Zapisałem tę datę jako dzień narodzin. Był to nie tyle uśmiech co przeobrażenie. Jej rysy ożywiły się nagle; to było jak niespodziewany przebłysk, podobny do pur-

purowej zorzy w Wysokich Alpach, która poprzedzając świt wprawia w drżenie śnieżny wierzchołek, określając go i wydobywając z nocy — rzekłbyś, zabarwienie mistyczne; i pomyślałem wtedy również o sadzawce w Bet-saidzie, w chwili gdy schodzi anioł i budzi uśpioną wodę. Przeżyłem coś w rodzaju oczarowania wobec anielskiego wyrazu, jaki przybrała nagle twarz Gertrudy, wyrażająca w tej chwili (tak mi się wydawało) nie tyle inteligencję co miłość. Ogarnął mnie tak wielki poryw wdzięczności, iż miałem wrażenie, że to samemu Bogu ofiarowałem pocałunek, który złożyłem na jej pięknym czole.

O ile ten pierwszy rezultat był trudny do osiągnięcia, o tyle dalsze postępy przychodziły już szybko. Trudno byłoby mi przypomnieć sobie dziś, jakimi drogami kroczyliśmy naprzód; wydaje mi się niekiedy, że Gertruda posuwała się skokami, jakby drwiąc sobie z wszelkich metod. Przypominam sobie, że przede wszystkim kładłem nacisk raczej na cechy przedmiotów niż na ich różnorodność: więc ciepło, zimno, letniość, słodycz, gorycz, szorstkość, sprężystość, lekkość... — a później na ruch: odsunąć, przybliżyć, podnieść, skrzyżować, położyć, zawiązać, rozwiązać, rozrzucić, zebrać itp. A wkrótce, rezygnując z wszelkiej metody, zacząłem po prostu gawędzić z nią swobodnie, nie przejmując się zbytnio tym, czy jej umysł nadąza zawsze za mną; stale jednak zachęcałem ją i prowokowałem, by rozpytywała mnie o wszystko do woli. Z całą pewnością jakiś intelektualny wysiłek doko-

nywał się w jej umyśle w czasie, gdy zosta-
wiałem ją samą, bo za każdym razem, gdy
powracałem do niej, zaskakiwała mnie czymś
nowym, sprawiała mi coraz to nową niespo-
dziankę i czułem, że oddzielająca mnie od niej
zasłona mroku jest mniej gęsta. Przecież to
właśnie jest tak: ciepłe powietrze i natarczywe
naleganie wiosny — mówiłem sobie — zaczy-
niają z wolna triumfować nad zimą. Ileż to
razy podziwiałem, w jaki sposób topnieje
śnieg: powiedzieć można, że płaszcz zużywa
się od spodu, chociaż jego wygląd pozostaje
ten sam. Każdej zimy Amelia daje się na to
nabrać i powiada do mnie: „Patrz, śnieg prze-
cież nie zmienił wyglądu”; wydaje się jeszcze
gęsty, podczas gdy ustępuje już i coraz to
w innym miejscu pozwala nagle pojawić się
życiu.

Z obawy, by Gertruda nie zmiserniała przez
ciągle przesiadywanie przy kominku, jak ja-
kaś staruszka, zacząłem wyprowadzać ją na
dwór. Lecz ona zgadzała się spacerować tylko
wówczas, gdy mogła trzymać mnie za rękę.
Jej zdziwienie i obawa zarazem, gdy tylko
wyszła z domu, pozwoliły mi zrozumieć —
zanim jeszcze sama mogła mi o tym powie-
dzieć — że nigdy przedtem nie odważyła się
przekroczyć progu domu. W chałupie, gdzie
ją znalazłem, zajmowano się nią tylko w ten
sposób, że dawano jej jeść i pilnowano, by nie
umarła, gdyż nie odważyłbym się powiedzieć:
aby żyła. Jej mroczny świat ograniczony był
jeszcze ścianami tej jedynej izby, której nigdy
nie opuszczała: podczas letnich dni ledwo wa-

żyła się siadywać na progu, gdy drzwi były otwarte na wielki, jasny świat. Opowiadała mi później, że słysząc śpiew ptaków wyobrażała go sobie jako czysty efekt światła, podobnie jak i ciepło, które pieściło jej policzki i ręce. I wydawało się jej zupełnie naturalne — chociaż nie zastanawiała się nad tym dokładnie — że gorące powietrze grzeje, podobnie jak woda gotuje się na ogniu. To prawda, że nie była tym wcale zaniepokojona, że nie zwracała na nic uwagi i żyła w głębokim odrętwieniu aż do dnia, kiedy zacząłem się nią zajmować. Przypominam sobie jej niewypowiedziany zachwyt, gdy uzmysłowiłem jej, że te głosiki pochodzą od żywych stworzeń, których jedyną funkcją, wydawałoby się, jest odczuwać i wyrażać rozproszoną radość natury. (Właśnie od tego dnia powzięła zwyczaj mówić: „Jestem radosna jak ptaszek“.)

A jednak myśl, że te trele opowiadają wspaniałość widowiska, którego nie może oglądać, przyprawiała ją o smutek.

— Czy rzeczywiście — pytała — ziemia jest tak piękna, jak to opowiadają ptaki? Dlaczego nie mówią więcej? Dlaczego pan mi o tym nie mówi? Czy z obawy, by nie sprawić mi przykrości wiedząc, że nie mogę tego zobaczyć? Byłby pan w błędzie. Przysłuchuję się ptakom; myślę, że rozumiem wszystko, co mówią.

— Ci, którzy mogą je widzieć, nie słyszą ich tak dobrze, jak ty, moja Gertrudo — odpowiedziałem w nadziei, że ją pocieszę.

— Dlaczego inne zwierzęta nie śpiewają? — zapytała.

Niekiedy jej pytania zaskakiwały mnie i wprawiały w prawdziwe zakłopotanie, gdyż zmuszały do zastanawiania się nad tym, co do tej pory przyjmowałem bez zbytniego zdziwienia. Dzięki temu właśnie zauważyłem po raz pierwszy, że im bardziej zwierzę przywiązane jest do ziemi i im więcej waży, tym bardziej jest smutne. To właśnie usiłowałem jej uzmysłwić i opowiadałem o wiewiórce i jej igraszkach.

Zapytała mnie wtedy, czy ptaki są jedynymi zwierzętami, jakie fruują.

— Są jeszcze motyle — odrzekłem.

— Czy one też śpiewają?

— Mają inny sposób wyrażania swej radości — odparłem — jest on zapisany kolorami na ich skrzydłach...

I opisałem jej wielobarwność motyli.

28 lutego

Cofam się w przeszłość, gdyż wczoraj nazbyt się zapędziłem.

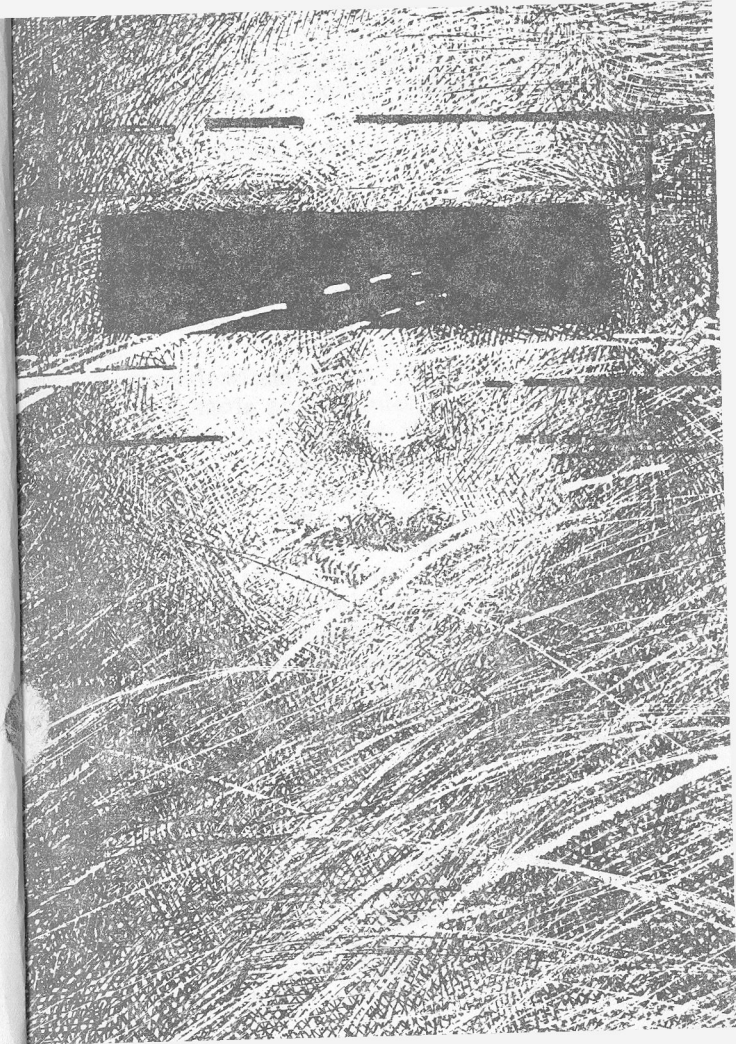
Aby kształcić Gertrudę, musiałem sam nauczyć się alfabetu niewidomych, ale rychło osiągnęła o wiele większą biegłość niż ja w odczytywaniu tego pisma, w którym trudno mi było połapać się i które w dodatku chętniej śledziłem wzrokiem niż dłońmi. Zresztą nie uczyłem jej już sam. Początkowo byłem nawet szczęśliwy, że jestem wspomagany w tych staraniach, gdyż miałem moc zajęć w gminie, której domostwa są nadmiernie rozrzucone, przez co moje wizyty u biednych i chorych zmuszają mnie niekiedy do dosyć dalekich wy-

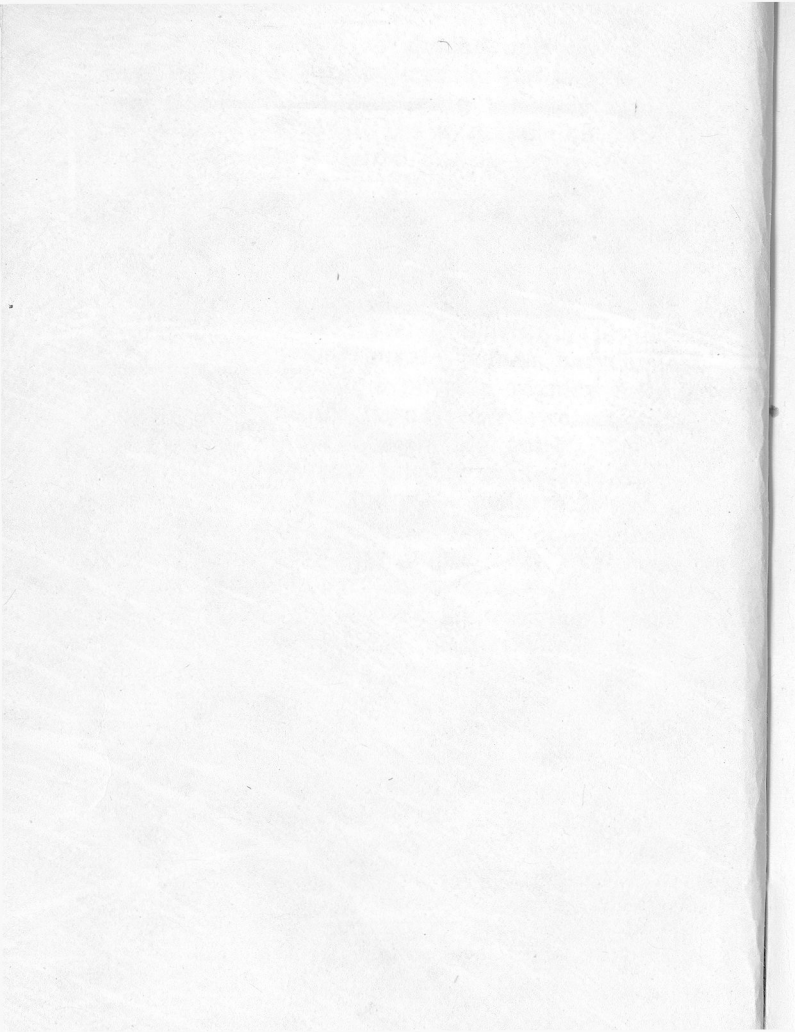
jazdów. Otóż Jakub nie omieszkął złamać sobie ręki jeżdżąc na łyżwach podczas ferii Bożego Narodzenia, które spędzał z nami — bo w tym czasie przebywał w Lozannie, gdzie zdał wstępne egzaminy i dostał się na wydział teologii. Złamanie nie było groźne i Martins, którego natychmiast wezwałem, z łatwością nastawił rękę bez pomocy chirurga. Jednakże ostrożność, jaką należało zachować, nakazywała, by Jakub pozostał czas jakiś w domu. Wtedy zaczął nagle interesować się Gertrudą, której do tej pory prawie wcale nie dostrzegał. Pomagał mi uczyć ją czytać. Ta współpraca trwała jedynie przez czas jego rekonwalescencji, czyli około trzech tygodni, podczas których Gertruda poczyniła znaczne postępy. Ożywiła ją nadzwyczajna gorliwość. Wydało się, że ta inteligencja — jeszcze wczoraj uśpiona — od pierwszych niemal kroków i zanim jeszcze nauczyła się chodzić, zaczęła biec. Często podziwiałem, jak niewiele trudności sprawiało jej formułowanie myśli i jak szybko zaczęła wysławiać się wcale nie dziecinnie, lecz poprawnie już, pomagając sobie dla zobrażowania idei — w sposób zupełnie nieoczekiwany dla nas i niezwykle zabawny — nazwami przedmiotów, które dopiero co nauczyła się rozpoznawać, lub tym wszystkim, o czym mówiliśmy i co opisywaliśmy, gdy nie dało się jej tego bezpośrednio udostępnić; zwykle bowiem, postępując jak pośrednicy, posługiwaliśmy się tym, czego mogła dotknąć lub co mogła poczuć, by wyjaśnić to, czego nie mogła osiągnąć.

Uważam jednak za zbędne opisywać tu kolejne szczeble tego nauczania, powtarzające się bez wątpienia w kształceniu wszystkich niewiomych. I tak myślę, że w przypadku każdego z nich kwestia kolorów stawia zawsze nauczyciela w tym samym kłopotcie. (Musiałem przy tej okazji stwierdzić, że Ewangelia nie mówi nic na temat kolorów.) Nie wiem, jak zabierali się do tego inni; co do mnie — zacząłem od wymienienia nazw kolorów pryzmatu w takim porządku, w jakim przedstawia je tęcza. W jej umyśle powstawało jednak natychmiast wielkie pomieszanie z powodu różnicy między pojęciem koloru a jasności; zdawałem sobie sprawę, że jej wyobraźnia nie potrafi dokonać żadnego rozróżnienia między odcieniem koloru a tym, co — jak sądzę — malarze nazywają jego walorem.

Zrozumieć, że każdy kolor może być w dodatku mniej lub bardziej intensywny i że mogą one w nieskończoność mieszać się ze sobą — oto co sprawiało jej największy kłopot.

Tymczasem tak się złożyło, że mogłem zabrać ją do Neuchâtel i umożliwić wysłuchanie koncertu. Rola każdego instrumentu w symfonii pozwoliła mi nawiązać do kwestii kolorów. Zwróciłem uwagę Gertrudy na różne brzmienia instrumentów dętych, smyczkowych i drewnianych oraz na to, że każdy z nich na swój sposób może wydawać z siebie całą gamę dźwięków, od najniższych do najwyższych, z większą lub mniejszą intensywnością. Zachęcałem ją, by wyobraziła sobie w ten sam sposób w przyrodzie barwy czerwone i pomarańczowe





— podobne do brzmienia rogów i puzonów, żółte i zielone — jakby brzmienia skrzypiec, wiolonczel i basetli, zaś fioletowe i błękitne — niby przywoływane przez flety, klarnety i oboje.

Wówczas pewien rodzaj wewnętrznego oczarowania oddalił jej wątpliwości:

— Jakież to musi być piękne! — powtarzała. A potem zapytała nagle: — Ale zaraz: biel? Nie rozumiem już, do czego podobna jest biel...

I uzmysłowiłem sobie, jak bardzo niedoskonałe było moje porównanie.

— Biel — próbowałem tłumaczyć jednak — biel jest tą wysoką granicą, poza którą wszystkie tony mieszają się ze sobą, podobnie jak czerń jest ową granicą najniższą.

Ale to nie satysfakcjonowało mnie bardziej niż ją; od razu zwróciła uwagę na fakt, że dźwięki instrumentów drewnianych, blaszanych czy skrzypiec różnią się jedne od drugich, zarówno w najniższych, jak i najwyższych brzmieniach. Ileż to razy, jak właśnie wtedy, musiałem zamilczeć, bezradny, poszukując gorączkowo, do jakiego tu porównania mógłbym się jeszcze odwołać.

— Więc tak — powiedziałem wreszcie — wyobraź sobie biel jako coś zupełnie czystego, coś, gdzie nie ma żadnego koloru, ale tylko światło; czerń, przeciwnie, jako nasycenie kolorem aż do zupełnego zaćmienia...

Przytaczam tutaj te okruchy dialogów jako przykład trudności, o które potykałem się bardzo często. Gertruda miała to do siebie, iż

nigdy nie udawała, że rozumie, jak czynią często ludzie, zagracając sobie w ten sposób umysł nieprecyzyjnymi lub fałszywymi danymi, przez co całe ich dalsze rozumowanie okazuje się chybione. Dopóki nie wyrobiła sobie jasnego wyobrażenia, każde pojęcie było dla niej powodem niepokoju i zafrasowania. Jeśli chodzi o problem, o którym wspomniałem wyżej, trudność zwiększała się jeszcze z tej przyczyny, że w jej umyśle pojęcia światła i ciepła były ze sobą ściśle związane i wiele trudu kosztowało mnie ich rozdzielenie.

I w ten sposób doświadczałem dzięki niej bezustannie, jak bardzo świat widzialny różni się od świata dźwięków i do jakiego stopnia wszelkie porównania między jednym a drugim są kulawe.

29 lutego

Całkowicie pochłonięty tymi porównaniami nie opowiedziałem jeszcze, jak wielką przyjemność sprawił Gertrudzie ów koncert w Neu-châtel. Grano właśnie *Symfonię pastoralną*. Mówię „właśnie”, bo nie jest to przecież — co łatwo zrozumieć — dzieło, z którym najbardziej życzyłbym sobie akurat zapoznać Gertrudę. Długo jeszcze potem, jak opuściliśmy salę koncertową, Gertruda pogrążona była w milczeniu i ekstazie.

— Czy naprawdę to, co widzicie, jest tak piękne, jak to właśnie?

— Tak piękne jak co, kochanie?

— Jak ta „scena nad brzegiem strumienia”?

Nie odpowiedziałem od razu, gdyż przyszło mi na myśl, że te harmonie nie do opisanja

przedstawiają wcale nie taki świat, jaki jest, ale taki, jaki mógłby być, gdyby istniał bez zła i grzechu. A nigdy jeszcze dotąd nie odważyłem się rozmawiać z nią na temat zła, grzechu, śmierci.

— Ci, którzy widzą — odezwałem się wreszcie — nie znają swego szczęścia.

— Ale ja, chociaż jestem niewidoma — wykrzyknęła wtedy. — Znam szczęście: słysząc! Przytuliła się do mnie idąc i uwiesiła mego ramienia, jak to czynią małe dzieci.

— Pastorze, czy pan czuje, jaka jestem szczęśliwa? Nie, nie mówię tego po to, by sprawić panu przyjemność. Proszę spojrzeć na mnie: czyż nie widać na twarzy, gdy to, co się mówi, nie jest prawdą? Ja to doskonale rozpoznaję po głosie. Czy przypomina pan sobie dzień, gdy rzekł mi pan, że pan nie płacze, było to tego dnia, gdy ciocia (tak nazywała moją żonę) zarzuciła panu, że nie potrafi pan nic dla niej uczynić? Krzyknęłam wtedy: „Pastorze, pan kłamie!” Och, wyczułam od razu w pańskim głosie, że pan nie mówi mi prawdy; nie musiałam wcale dotykać pańskich policzków, by poznać, że pan płacze.

I powtórzyła głośno:

— Nie, wcale nie musiałam dotykać pańskich policzków — co sprawiło, że zarumieniłem się, gdyż byliśmy jeszcze w mieście i kilku przechodniów obejrzało się za nami.

Ona tymczasem mówiła dalej:

— Widzi pan, nie ma sensu wprowadzać mnie w błąd. Przede wszystkim dlatego, że byłoby bardzo nieładnie oszukiwać niewidomą...

Poza tym dlatego, że to się nie uda — do-
rzuciła śmiejąc się. — Niech mi pan powie,
pastorze... pan nie jest nieszczęśliwy, prawda?

Podniosłem jej dłoń do ust chcąc dać jej
odczuć, bez wyznawania tego, że część mego
szczęścia pochodzi od niej. Powiedziałem tyl-
ko:

— Nie, Gertrudo, nie, nie jestem nieszczęśli-
wy. Jakże mógłbym być nieszczęśliwy?

— A jednak płacze pan czasami?

— Płakałem niekiedy.

— Ale od tamtego razu, o którym mówiłam,
już nie?

— Nie, odtąd już nie płakałem.

— I nie miał pan więcej ochoty płakać?

— Nie, Gertrudo.

— A proszę mi powiedzieć... Czy zdarzyło
się od tamtego czasu, że miał pan ochotę skła-
mać?

— Nie, drogie dziecko.

— Czy może mi pan obiecać, że nie będzie
pan nigdy próbował zwodzić mnie?

— Obiecuję.

— Dobrze! Proszę mi więc powiedzieć, ale
prędko: czy jestem ładna?

To nagle pytanie zbiło mnie z tropu, tym
bardziej że aż do tego dnia wołałem nie do-
strzegać niezaprzeczalnej piękności Gertrudy;
co więcej — uważałem za zupełnie zbędne, by
ona sama dowiedziała się o tym.

— Dlaczego zależy ci, żeby to wiedzieć? —
zapytałem.

— To jest moje zmartwienie — odrzekła.
Chciałabym wiedzieć, czy ja... nie... Jak to pa-

nu powiedzieć? Czy ja nie kontrastuję nazbyt w tej symfonii. Kogo innego mogłabym o to spytać, pastorze?

— Nie jest sprawą pastora troszczyć się o piękno oblicza — odpowiedziałem broniąc się, jak mogłem.

— Dlaczego?

— Bo piękno duszy mu wystarcza.

— Woli pan zatem pozostawić mnie w przekonaniu, że jestem brzydka — powiedziała z czarującą minką; wtedy nie panując nad sobą, wykrzyknąłem:

— Gertrudo, wiesz dobrze, że jesteś śliczna!

Zamilkła, a twarz jej przybrała wyraz nader poważny, który nie opuścił jej już przez całą drogę powrotną.

Ledwo wróciliśmy, Amelia nie omieszkała dać mi odczuć, że nie pochwała sposobu, w jaki spędziłem ten dzień. Mogła była powiedzieć mi to wcześniej; ale pozwoliła nam wyjść, Gertrudzie i mnie, nie mówiąc ani słowa, zgodnie ze swym zwyczajem: zezwalać i zachowywać potem dla siebie prawo przygany. Zresztą nie uczyniła mi właściwie żadnych wyrzutów; ale już samo jej milczenie było oskarżeniem; bo czyż nie byłoby naturalne, gdyby wypytywała o to, czego wysłuchaliśmy — bo przecież wiedziała, że zabieram Gertrudę na koncert? Czyż radości tego dziecka nie zwiększyłyby chociaż najmniejszy przejaw okazanego zainteresowania, dzięki któremu odczułaby, że jej przyjemności nie są nam obojętne? Amelia zresztą

wcale nie milczała, ale celowo starała się mówić o rzeczach najzupełniej obojętnych; i dopiero wieczorem, gdy dzieci poszły już spać i kiedy wzięwszy ją na stronę zapytałem szczerze: „Gniewasz się o to, że zabrałem Gertrudę na koncert?“, otrzymałem tę odpowiedź: „Robisz dla niej to, czego nie uczyniłbyś dla żadnego ze swoich dzieci.”

Miała zatem ciągle pretensje o to samo i nie mogła zrozumieć, że — tak jak w przypowieści — fetuje się uroczyście dziecko, które powraca, a nie te, które pozostały; martwiło mnie także, że nie liczyła się z kalectwem Gertrudy, która nie mogła mieć nadziei na zaznanie innych przyjemności. I jeśli zrządzeniem losu właśnie tego dnia znalazłem trochę wolnego czasu, ja, tak bardzo zazwyczaj zajęty, zarzut Amelii był tym bardziej niesprawiedliwy; przecież wiedziała dobrze, iż każde z naszych dzieci miało w tym czasie jakąś własną pracę bądź inne zajęcia domowe; a ona sama w ogóle nie lubi muzyki i gdyby nawet dysponowała wolną chwilą, nigdy nie przyszłoby jej na myśl wybrać się na koncert. Nawet, gdyby odbywał się tuż pod naszymi drzwiami.

Najbardziej jednak zasmuciło mnie to, że Amelia ośmieliła się wypowiedzieć te słowa przy Gertrudzie; bo chociaż odwołałem żonę na bok, specjalnie podniosła głos, by Gertruda ją słyszała. Czułem się właściwie nie tyle smutny, co oburzony i w kilka chwil później, gdy Amelia zostawiła nas samych, podszedłem do Gertrudy, wziąłem jej małą, drobną dłoń i uniosłem do swej twarzy:

— Widzisz! Tym razem nie płakałem.

— Nie, tym razem moja kolej — powiedziała, usiłując uśmiechnąć się do mnie; a gdy podniosła ku mnie swą piękną twarz, ujrzałem, że jest zalana łzami.

8 marca

Jedyną przyjemność, jaką mogę sprawić Amelii, to powstrzymywać się od takich czynków, które nie podobają się jej. Te świadectwa miłości, zgoła negatywne, są jedynymi, na jakie mi zezwala. Nie jest nawet w stanie zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia zubożyła moje życie. Ach! Dałby Bóg, żeby zażądała ode mnie jakiegoś trudnego przedsięwzięcia! Z jaką radością spełniłbym dla niej czyn zuchwały, nawet niebezpieczny! Ale można by rzec, że czuje ona niechęć do wszystkiego, co nie jest przyzwyczajeniem; w ten sposób życie jest dla niej tylko dodawaniem do przeszłości podobnych do siebie dni. Nie życzy sobie żadnych nowych wartości — nawet jeśli pochodzą one ode mnie — ani rozwijania cnót już uznanych. Spogląda z niepokojem, o ile nie z naganą, na cały wysiłek duszy, która chciałaby widzieć w chrystianizmie coś więcej niż tylko oswojenie instynktów.

Muszę się przyznać, że będąc w Neuchâtel zupełnie zapomniałem uregulować rachunek u właścicielki pasmanterii i kupić pudełko nici, o które mnie Amelia prosiła. Sam gniewałem się na siebie bardziej, niż byłaby w stanie złościć się ona, zwłaszcza że obiecywałem sobie nie zapomnieć, pamiętając, że „kto jest solid-

ny w małych sprawach, pozostanie takim w sprawach poważnych", i obawiając się konkluzji, jakie mogłaby wyciągnąć z mego zapomnienia. Wołałbym był nawet, żeby uczyniła mi jakąś wymówkę, gdyż w sposób oczywisty zasłużyłem na nią. Ale — jak to bywa z Amelią — wyimaginowana pretensja wzięła górę nad konkretnym zarzutem. Ach! Jakie piękne byłoby życie, a nasza nędza znośna, gdybyśmy zadowalali się realnym złem, bez dawania posłuchu zjawom i urojeniom naszego umysłu. Lecz pozwalałam sobie notować tutaj coś, co mogłoby raczej stanowić temat jakiegoś kazania (Mat. XII, 29: „Nie miejcie nade wszystko niespokojnego ducha"). A przecież podjąłem się opisać na tych stronicach historię intelektualnego i moralnego rozwoju Gertrudy. Wracam do tematu.

Spodziewałem się, że będę mógł tutaj prześledzić ten rozwój krok po kroku i zacząłem opowiadać szczegółowo. Ale pominąwszy już to, że brakuje mi czasu, by opisywać dokładnie jego fazy, jest mi dzisiaj w dodatku nadzwyczaj trudno odtworzyć dokładny bieg zdarzeń. Pochłonięty mą opowieścią przytoczyłem najpierw te ostatnie rozmowy z Gertrudą, jej refleksje — i ktoś, kto przeczyta kiedyś te strony, zdziwi się z pewnością, że ona od razu wyraża się z takim rozsądkiem, że rozumuje tak poprawnie. Rzecz i w tym, że czyniła postępy zdumiewająco szybko; podziwiałem często, jak prędko jej umysł chwycił intelektualną strawę, którą jej podsuwałem, i wszystko to, czym mógł zawładnąć, przyswajając sobie tę

wiedzę nieustannym wysiłkiem kojarzenia i dociekania. Zaskakiwała mnie stale uprzedzając moje myśli, wybiegając daleko poza nie — i często z rozmowy na rozmowę nie poznawałem mojej uczennicy.

Po upływie niewielu miesięcy nie można już było poznać, że jej inteligencja drzemała tak długo. Przejawiała nawet więcej roztropności niż większość młodych dziewcząt w jej wieku, które świat zewnętrzny rozprasza i którym najwięcej uwagi pochłaniają częstokroć sprawy błahe. Zresztą sądzę, że Gertruda była starsza, niż początkowo sądziliśmy. Niekiedy odnosiło się wrażenie, że usiłuje obrócić na swą korzyść ułomność, i zastanawiałem się czasami, czy rzeczywiście, pod wieloma względami, to kalectwo nie jest jej przewagą. Mimo woli nawet porównywałem ją z Karoliną, a gdy niekiedy zdarzało mi się przerabiać z moją córką lekcje, widząc, jak byle przelatująca muszka rozprasza jej uwagę, myślałem sobie: A jednak o ile uważniej słuchałaby mnie, gdyby tak była niewidoma...

Nie muszę mówić, że Gertruda była bardzo zachłanna na wszelkie lektury; wołałem jednak, by nie czytywała zbyt wiele, przynajmniej beze mnie, pragnąc zawsze prowadzić jej myśl — a jeśli już, to głównie Biblię, co może wydać się dziwne u protestanta. Usprawiedliwię się z tego dalej. Ale zanim dotknę sprawy tak ważnej, zrelacjonować chcę drobny fakt, który ma związek z muzyką i który umiejscowić by trzeba, o ile dobrze sobie przypominam, wkrótce po koncercie w Neuchâtel.

Tak, ten koncert odbył się — myślę — jakieś trzy tygodnie przed wakacjami, które sprowadziły do nas Jakuba. W tym czasie nieraz zdarzało mi się posadzić Gertrudę przed niewielkimi organami naszej kaplicy; grywa na nich zwykle panna de la M..., u której Gertruda mieszka obecnie. Luiza de la M... nie zaczęła jeszcze wtedy uczyć Gertrudy muzyki. Mimo miłości, jaką żywię do muzyki, sam nie bardzo się na tym znam i nie czułem się zdolny nauczyć jej czegokolwiek, gdy zasiadałem obok niej przy klawiaturze.

— Nie, proszę mnie zostawić — powiedziała przy pierwszych po omacku wziętych tonach. — Wolę spróbować sama.

Opuściłem ją tym chętniej, że kaplica nie wydawała mi się stosownym miejscem, by zamykać się tam z nią sam na sam, zarówno przez szacunek dla świętego miejsca, jak i z obawy przed plotkami — chociaż zwykle staram się nie zwracać na nie uwagi; ale chodziło tu także o nią, nie zaś wyłącznie o mnie. Ilekroć jakieś wizyty wzywały mnie w tamtą stronę, odprowadzałem ją aż do świątyni i pozostawiałem tam, często na długie godziny, a wracając przychodziłem po nią. Spędzała ten czas cierpliwie na odkrywaniu akordów i harmonii, i pod wieczór zastawałem ją pełną skupienia nad jakimś konsonansem, który pogrążał ją w długotrwałym zachwycie.

Jednego z pierwszych dni sierpnia, zaledwie pół roku temu, nie zastawszy w domu pewnej biednej wdowy, do której szedłem z pociechą, wróciłem, aby zabrać Gertrudę z kościoła, gdzie

ją zostawiłem; nie oczekiwała mnie tak wczesnie i byłem mocno zdziwiony ujrawszy obok niej Jakuba. Ani jedno, ani drugie nie usłyszało, jak wchodziłem, bo niewielki hałas, jaki uczyniłem, zagłuszyły dźwięki organów. Podsluchiwanie nie leży wcale w moim charakterze, ale wszystko, co dotyczy Gertrudy, żywo mnie obchodzi; toteż stąpając ostrożnie, by wyciszyć szmer kroków, wspierałem się ukradkiem na kilka stopni prowadzących na ambonę; wspaniałe stanowisko obserwacyjne.

Muszę przyznać, że przez cały czas, jaki tam przebywałem, nie usłyszałem ani jednego słowa, którego on czy ona nie mogliby równie dobrze powiedzieć w mojej obecności. Ale on był tuż przy niej i kilkakrotnie widziałem, jak bierze ją za rękę, by ułożyć jej palce na klawiaturze. Czyż nie było dziwne już to, że pozwalała mu sprawdzać i poprawiać swą grę, podczas gdy do mnie mówiła, że wolałaby obejść się bez tego? Byłem bardzo zdziwiony; bardziej zmartwiony, niż chciałbym się do tego przyznać przed samym sobą, i już zamierałem interweniować, gdy zobaczyłem, że Jakub wyciąga zegarek.

— Czas już, bym cię opuścił — powiedział.
— Mój ojciec wkrótce wróci.

Ujrzałem, jak podnosi do ust dłoń, którą mu podała; później wyszedł. W kilka chwil potem, zszedłszy bez szmeru ze schodów, otworzyłem drzwi świątyni tak, by mogła słyszeć i pomyśleć, że dopiero co wróciłem.

— No i jak, Gertrudo? Jesteś gotowa do powrotu? Nauka idzie dobrze?

— Tak, bardzo dobrze — odpowiedziała tonem najbardziej naturalnym. — Dzisiaj naprawdę poczyniłam znaczne postępy.

Wielki smutek nappełnił mi serce, ale nie uczyniliśmy, ani jedno, ani drugie, żadnej aluzji do tego, o czym przed chwilą opowiedziałem.

Śpieszno mi było znaleźć się sam na sam z Jakubem. Moja żona, Gertruda i dzieci kładą się zwykle spać zaraz po kolacji, pozostawiając nas we dwójkę, nad książkami, które czytamy późno w noc. Oczekiwałem tego momentu, ale przed rozmową z nim czułem, że mam serce tak wezbrane uczuciami i tak wzburzone, że nie umiałem ani nie odważyłem się poruszyć tematu, który mnie dręczył. I to właśnie Jakub nagle przerwał ciszę oznajmiając, że postanowił spędzić w domu całe wakacje... Otóż kilka dni wcześniej podzielił się z nami swymi planami wyprawy w Wysokie Alpy, który to projekt moja żona i ja wielce pochwalaliśmy; wiedziałem, że mój przyjaciel T..., którego wybrał za towarzysza wyprawy, oczekuje go; łatwo więc domyśliłem się, że ta nagła zmiana w planach nie pozostaje bez związku ze sceną, której byłem świadkiem. Ogarnęło mnie najpierw wielkie oburzenie, ale obawiając się, że jeśli dam mu się ponieść, mój syn zamknie się przede mną definitywnie; obawiając się także, bym nie musiał żałować zbyt porwanych słów, z wielkim trudem opanowałem się i odezwałem najbardziej swobodnym tonem, na jaki było mnie stać w tej chwili:

— A ja sądziłem, że T... liczy na ciebie.

— Och — odrzekł — wcale na mnie nie liczy, a zresztą nie będzie miał kłopotu z zastąpieniem mnie. Odpocznę równie dobrze tu jak w Oberlandzie, a doprawdy sędzę, że mogę lepiej wykorzystać czas niż biegając po górach.

— A zatem — mówię — znalazłeś tu sobie jakieś ciekawsze zajęcie?

Spojrzał na mnie, wyczuwając pewną ironię w tonie mojego głosu, ale ponieważ nie odgadywał jeszcze jej powodów, odrzekł obojętnym tonem:

— Wiesz, że zawsze wolałem książki od alpejskiego kija.

— Tak, mój drogi — rzekłem, teraz ja z kolei spoglądając na niego uważnie — nie uważasz jednak, że lekcje akompaniamentu na fisharmonii przedstawiają dla ciebie jeszcze większą atrakcję niż lektura?

Poczuł bez wątpienia, że się czerwieni, gdyż podniósł rękę do twarzy, chcąc jak gdyby osłonić się przed światłem lampy. Ale opanował się niemal natychmiast i powiedział głosem, co do którego życzyłbym sobie, by brzmiał nieco mniej pewnie:

— Nie oskarżaj mnie nazbyt, ojczy. Nie miałem zamiaru ukrywać czegokolwiek przed tobą, a ty tylko trochę uprzedzasz wyznanie, jakie chciałem ci uczynić.

Mówił powoli, tak, jak czyta się na głos książkę, kończąc zdanie z takim spokojem, jakby nie o niego chodziło. Nadzwyczajne opanowanie, jakie wykazywał, rozjątrzyło mnie do reszty. Widząc, że zamierzam mu przerwać,

podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć: „Nie, będziesz mógł mówić później, pozwól mi najpierw skończyć”. Wówczas pochwyciłem jego rękę i potrząsając nią gwałtownie zacząłem krzyżeć:

— Zamiast patrzeć, jak wnosisz niepokój w czystą duszę Gertrudy, ach! wolałbym nie widzieć cię więcej! Nie potrzebuję twoich wyznań! Nadużywać jej kalectwa, niewinności, prostoduszności to wstrętne podłoże, o którą nigdy bym cię nie posądzał! I jeszcze mówić mi to wszystko tym odrażającym, chłodnym tonem! Posłuchaj mnie dobrze: odpowiadam za Gertrudę i nie zniosę ani jednego dnia dłużej, byś z nią rozmawiał, dotykał jej, widywał ją!

— Ależ, ojczy — odparł tym samym spokojnym tonem, który tak bardzo wytrącał mnie z równowagi. — Uwierz, że szanuję Gertrudę nie mniej niż ty. Mylisz się wielce, jeśli sądzisz, że jest cokolwiek naganego nie tylko w moim postępowaniu, ale i w moich intencjach i w tajemnicy mojego serca. Kocham Gertrudę i szanuję tak, jak ją kocham, powiadam ci. Myśl, by niepokoić ją, wykorzystać jej niewinność i kalectwo wydaje mi się równie wstrętne jak i tobie.

Później zapewnił uroczyście, że chciałby być dla niej oparciem, przyjacielem, mężem; że nie uważał, iż musi mówić mi o tym, dopóki nie podejmie postanowienia, by ją poślubić; że tego postanowienia sama Gertruda nie zna jeszcze i że właśnie ze mną chciał o tym najpierw pomówić. „Oto wyznanie, które miałem

zamiar ci uczynić — dodał — i nie mam więcej nic do powiedzenia, wiedz o tym."

Na te słowa osłupiałem. Czulem, jak krew bije mi w skroniach. Przygotowałem tylko zarzuty i w miarę jak odbierał mi wszelki powód do oburzenia, czulem się coraz bardziej bezradny. Kiedy skończył, nie miałem już właściwie nic do powiedzenia.

— Chodźmy spać — bąknąłem wreszcie po dłuższej chwili milczenia. Wstałem i położyłem mu rękę na ramieniu: Jutro powiem ci, co o tym wszystkim myślę.

— Powiedz przynajmniej, że nie gniewasz się już na mnie.

— Potrzebuję nocy, by się zastanowić.

Nazajutrz gdy spotkałem Jakuba, wydawało mi się doprawdy, że widzę go po raz pierwszy. Uzmysłowiłem sobie nagle, że mój syn nie jest już dzieckiem, ale młodzieńcem: dopóki uważałem go za dziecko, ta miłość, którą nieoczekiwanie odkryłem, mogła wydawać się okropna. Spędziłem noc na przekonywaniu, że przeciwnie, jest ona zupełnie naturalna i normalna. Jak to się więc działo, że moje niezadowolenie zwiększyło się jeszcze? Miałem to zrozumieć dopiero później. Na razie jednak musiałem porozmawiać z Jakubem i oznajmić mu swą decyzję. Tymczasem jakiś instykt, równie pewny jak głos sumienia, ostrzegał mnie, że należy za wszelką cenę przeszkodzić temu małżeństwu.

Poprowadziłem Jakuba w głąb ogrodu i tam zapytałem najpierw:

— Oświadczyłeś się już Gertrudzie?

— Nie — odparł — być może przeczuwa już moją miłość, ale nic jej jeszcze nie mówiłem.

— To dobrze! Obiecasz mi, że nie powiesz jej jeszcze o tym.

— Ojczy, przyrzekłem sobie, że cię usłucham; ale czy nie mógłbym poznać twoich racji?

Wahałem się, czy przedstawić jej, nie bardzo wiedząc, czy te właśnie, które przychodziły mi na myśl, były akurat stosowne, takie, jakich należałoby użyć. Prawdę powiedziawszy raczej sumienie niż rozum dyktowało w tym momencie moje postępowanie.

— Gertruda jest zbyt młoda — powiadam wreszcie. — Pomyśl, ona nie była jeszcze nawet u komunii. Wiesz, że to nie jest dziecko jak inne, niestety! I że jej rozwój był mocno opóźniony. Z pewnością byłaby nazbyt poruszona — przy całej swej ufności — słysząc pierwsze słowa miłości; właśnie dlatego nie trzeba jej o niczym mówić; zawładnąć kimś, kto nie może się bronić, to zwykle tchórzostwo. Wiem, że nie jesteś tchórzem. Twoje uczucia, mówisz, nie mają w sobie nic naganego; a ja uważam je za naganne, gdyż są przedwczesne. Gertruda nie potrafi jeszcze zachować ostrożności, musimy więc być rozsądni za nią. To sprawa sumienia.

Jakub ma do siebie to wspaniałego, że wystarczają proste słowa: „Odwołuję się do twojego sumienia” — aby go powstrzymać; używałem ich często, gdy był dzieckiem. Tymczasem jednak spoglądałem na niego i pomy-

ślałem, że gdyby Gertruda mogła go widzieć, nie oparłaby się przed podziwem dla jego silnej, smukłej sylwetki, prostej i zwinnej zarazem, dla tego pięknego czoła bez zmarszczek, szczerego spojrzenia, dla tej twarzy dziecinnej jeszcze, lecz zasnutą już nagłą powagą. Był z gołą głową i jego popielate włosy, które nosił dosyć długie, układały się w loki na skroniach i przykrywały do połowy uszy.

— Jest jeszcze coś, o co chciałbym cię prosić — podjąłem wstając z ławki, na której siedzieliśmy. — Zamierzałeś podobno wyjechać pojutrze; proszę cię, byś nie odwlekał tego wyjazdu. Miałeś być nieobecny przez cały miesiąc; proszę cię, byś nie skracał nawet o jeden dzień tej wycieczki. Zgoda?

— Dobrze, ojczy, będę ci posłuszny.

Wydawało mi się, że zbladł do tego stopnia, że nawet jego wargi stały się bezbarwne. Ale wmawiałem sobie, że jeśli uległ tak szybko, jego miłość musi nie być zbyt silna — i doświadczyłem niewypowiedzianej ulgi. Co więcej, wzruszyła mnie jego potulność:

— Odnajduję dziecko, które kochałem — powiedziałem łagodnie, a przyciągając go do siebie dotknąłem ustami jego czoła; cofnął się jakby w lekkim odruchu oporu, ale nie chciałem tym się przejmować.

10 marca

Nasz dom jest tak mały, że zmuszeni jesteśmy żyć w ciasnocie, stłoczeni, niemal jedno na drugim, co niekiedy przeszkadza mi w pracy, chociaż zachowałem sobie na piętrze mały

pokoik, gdzie zawsze mogę schronić się i przyjmować wizyty; ciasnota ta jest szczególnie krępująca wtedy, gdy chcę porozmawiać z kimś na osobności, bez nadawania jednak rozmowie formy zbyt poważnej, jakiej nabierałyby w owej „rozmównicy”, którą dzieci nazywają niekiedy w żartach „świętynią”, i gdzie nie wolno im wchodzić; ale tego właśnie ranka Jakub wyjechał do Neuchâtel, by kupić sobie wygodne obuwie, a dzieci, ponieważ była ładna pogoda, wyszły zaraz po śniadaniu na spacer z Gertrudą, której są przewodnikami, chociaż i ona czuwa nad nimi. Miło mi tu wspomnieć, że Karolina jest szczególnie usłużna dla niej. W sposób zupełnie naturalny zatem znalazłem się sam z Amelią w porze porannej herbaty, którą pijemy zawsze w ogólnej izbie. Tego właśnie pragnąłem, bo śpieszno mi było pomówić z nią. Tak rzadko zdarza mi się przebywać z żoną tylko we dwoje, że poczułem, iż brakuje mi śmiałości — a i ważność tego, co miałem jej do powiedzenia, wprawiała mnie w zakłopotanie, jak gdyby nie chodziło o wyznaczenie Jakuba, ale o moje własne. Doświadczyłem wtedy, jeszcze zanim zacząłem rozmowę, do jakiego stopnia dwie istoty żyjące w końcu tym samym życiem i kochające się mogą pozostawać (lub stać się) obce sobie i zamknięte wobec siebie. Słowa, które w takiej sytuacji kierujemy do drugiego lub które on adresuje do nas, brzmią żałośnie jak obroty świdra, ostrzegając nas o oporze tej dzielącej przegrody, która — jeśli zlekceważymy ją — może stawać się coraz twardsza...

— Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Jakubem, dziś rano także... — zacząłem, gdy nalewała herbatę, a głos mój był tak drżący, jak pewny siebie był wczoraj ton Jakuba. — Powiedział mi o swej miłości do Gertrudy.

— Dobrze zrobił, że ci o tym powiedział — odrzekła nie patrząc na mnie i nie przerywając swej czynności, jakbym oznajmił jej rzecz zupełnie naturalną lub raczej jakbym nie powiedział niczego nowego.

— Wyraził chęć poślubienia jej... swoje postanowienie...

— To było do przewidzenia — mruknęła wzruszając lekko ramionami.

— Więc domyślałaś się tego? — zapytałem trochę nerwowo.

— Od dawna już było widać, że do tego dojdzie, ale jest pewien rodzaj spraw, których mężczyźni nie potrafią zauważyć.

Ponieważ zaprzeczanie niewiele by dało, a zresztą, być może, było trochę prawdy w jej słowach, zaproponowałem tylko słabo:

— W takim razie powinnaś była uprzedzić mnie o tym...

Uśmiechnęła się kącikiem warg, tym szczególnym uśmieszkiem, który towarzyszy niekiedy jej niedomówieniom i osłania je, a potrząsając głową powiedziała:

— Gdybym tak miała uprzedzać cię o wszystkim, czego nie potrafisz dostrzec!

Co znaczyła ta insynuacja? Nie wiedziałem tego ani nie chciałem się tego dowiedzieć... Toteż puściwszy tę uwagę mimo uszu powiedziałem:

— Chciałbym wreszcie usłyszeć, co o tym myślisz.

Westchnęła, a potem odrzekła:

— Sam wiesz, mój drogi, że nigdy nie aprobowałam obecności tego dziecka między nami.

Omam nie rozzłościłem się słysząc, jak znów powraca do przeszłości.

— Tu przecież nie chodzi o obecność Gertrudy — odparłem; ale Amelia mówiła dalej:

— Zawsze uważałam, że to przyniesie tylko zmartwienie.

Uchwyciłem się tych jej ostatnich słów, pragnąc za wszelką cenę pojednania:

— Zatem uważasz to małżeństwo za niewłaściwe... Więc dobrze! To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć, wspaniale, że jesteśmy tego samego zdania.

Dorzuciłem, że Jakub ostatecznie dość potulnie uległ racjom, które mu przedstawiłem, i ona nie musi już o nic niepokoić się; zostało uzgodnione, że nazajutrz wyjedzie w podróż, która potrwa miesiąc.

— Ponieważ podobnie jak i tobie zależy mi na tym, żeby po powrocie nie spotkał tutaj Gertrudy — powiedziałem na koniec — pomyślałem, że lepiej będzie powierzyć pieczę nad nią pannie de la M..., u której mógłbym nadal widywać ją, bo nie kryję się z tym, że wzięłem na siebie poważne zobowiązanie wobec Gertrudy. Właśnie rozmawiałem z nową opiekunką, która jak najchętniej odda nam tę przysługę. W ten sposób będziesz wreszcie uwolniona od obecności Gertrudy, która jest dla ciebie tak przykra. Luiza de la M... zajmie się

nią; wydaje się zachwycona takim postawieniem sprawy. Cieszy się już z góry na udzielanie Gertrudzie lekcji gry na fisharmonii.

Wydawało się, że Amelia postanowiła milczeć; mówiłem więc dalej:

— Ponieważ trzeba uniknąć tego, by Jakub odwiedzał tam Gertrudę bez naszej wiedzy, myślę, że dobrze byłoby uprzedzić pannę de la M... o sytuacji. Nie sądzisz?

Usiłowałem tym pytaniem uzyskać choć jedno słowo Amelii, ale zacisnęła wargi, jak gdyby zawzięła się, żeby nic nie powiedzieć. I mówiłem dalej — już nie dlatego, że miałem coś do powiedzenia, ale ponieważ nie mogłem znieść jej milczenia:

— Być może zresztą, że Jakub powróci ze swej eskapady wyleczony już z tej miłości. Czyż w jego wieku zna się w ogóle swe pragnienia?

— Och, nawet później nie zawsze zdajemy sobie z nich sprawę — odezwała się dziwnie.

Złościł mnie jej ton, zagadkowy i sentencjonalny zarazem, bo jestem z natury zbyt szczerzy, by łatwo przystać na tajemnicę. Obracając się więc ku niej gwałtownie poprosiłem, by wyjaśniła, co ma na myśli.

— Nic, mój drogi — odrzekła smutno. — Pomyślałam tylko, że dopiero co życzyłeś sobie, by ostrzegać cię przed tym wszystkim, czego sam nie zauważasz.

— A więc?

— A więc pomyślałam sobie, że niełatwo jest ostrzec cię.

Powiedziałem już, że mam wstręt do wszel-

kich tajemnic i z zasady nie godzę się na żadne niedomówienia.

— Jeśli chcesz, żebym naprawdę zrozumiał, o co ci chodzi, bądź łaskawa wyrażać się jaśniej! — uniosłem się w sposób być może dosyć brutalny, czego wkrótce pożałowałem ujrawszy, jak przez chwilę drżą jej wargi. Odwróciła głowę, wstała i uczyniła kilka chwiejnych kroków po pokoju.

— Ależ, doprawdy, Amelio — wykrzyknąłem — dlaczego dalej zamartwiasz się, skoro teraz wszystko jest już naprawione?

Czułem, że moje spojrzenie krępuje ją, więc odwróciłem się plecami, i oparty o stół, z głową ukrytą w dłoniach, powiedziałem:

— Byłem zbyt szorstki przed chwilą. Przepraszam.

Wtedy usłyszałem, że podchodzi do mnie, później poczułem jej palce na swych włosach; powiedziała łagodnie, głosem nabrzmiałym od łez:

— Mój biedny przyjacielu!

Później szybko wyszła z pokoju.

Słowa Amelii, które zdały mi się wtedy tajemnicze, rozjaśniły się dla mnie nieco później; przytoczyłem je takimi, jakimi wydawały mi się wówczas. Tego dnia zrozumiałem tylko, że czas już, by Gertruda odeszła.

12 marca

Narzuciłem sobie ten obowiązek: poświęcać codziennie trochę czasu Gertrudzie; było to, zależnie od zajęć dnia, kilka godzin lub kilka chwil. Następnego dnia po wspomnianej roz-

mojemu z Amelią tak się złożyło, że miałem sporo wolnego czasu i przy zachęcająco pięknej pogodzie poprowadziłem Gertrudę przez las, aż na to zboczce Jury, gdzie poprzez kurtynę gałęzi, po tamtej stronie potężnej krainy, spojrzenie odkrywa ponad lekką mgiełką cudowność białych Alp.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy przybyliśmy na nasze ulubione miejsce, gdzie zwykle siadywaliśmy. Łąka o trawie gęstej i gładkiej opadała do naszych stóp. Nieco dalej pasło się kilka krów; w tych górskich stonach każda z nich nosi na szyi dzwoneczek.

— One opisują krajobraz — mawiała Gertruda słuchając ich pbrzękiwań.

Jak na każdej przechadzce poprosiła, bym opisał jej miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy.

— Ależ znasz je przecież — powiedziałem. — To ten skraj lasu, skąd widać Alpy.

— Czy dziś dobrze je widać?

— Widać ich wspaniałość w pełnej krasie.

— Mówił mi pan, że każdego dnia są trochę inne...

— Do czego zatem mógłbym porównać je dzisiaj? Do pragnienia w samym środku upalnego dnia lata. Jeszcze przed wieczorem rozplyną się w powietrzu.

— Chciałabym, żeby mi pan powiedział, czy na tej wielkiej łące przed nami rosną lilie?

— Nie, Gertrudo, lilie nie rosną na tych wysokościach; chyba że jakieś rzadkie gatunki.

— Ale nie te, które nazywają liliami polnymi?

— Lilie nie rosną na polach.

— Nawet w okolicy Neuchâtel?

— W ogóle nie ma lilii polnych.

— Więc dlaczego Pan Bóg powiedział: „Przypatrujcie się liliom polnym”?

— Były, bez wątpienia były w swoim czasie, skoro tak powiedział... Ale ludzkie uprawy sprawiły, że wyginęły.

— Pamiętam o tym, co powtarzał mi pan często, że największą potrzebą tej ziemi jest zaufanie i miłość. Czy nie sądzi pan, że przy nieco większej ufności człowiek mógłby zobaczyć je znowu? Ja, zapewniam pana, widzę je, gdy słyszę to słowo. Opiszę je panu, dobrze? Widzę więc świetliste kłosze, wielkie błękitne kłosze napełnione zapachem miłości, którymi kołysze wieczorny wiatr. Dlaczego mówi pan, że ich nie ma, tam, przed nami? Ja czuję je! Widzę całą tę łąkę pełną polnych lilii!

— Nie są piękniejsze, niż je widzisz, Gertrudo.

— Proszę powiedzieć, że nie są mniej piękne.

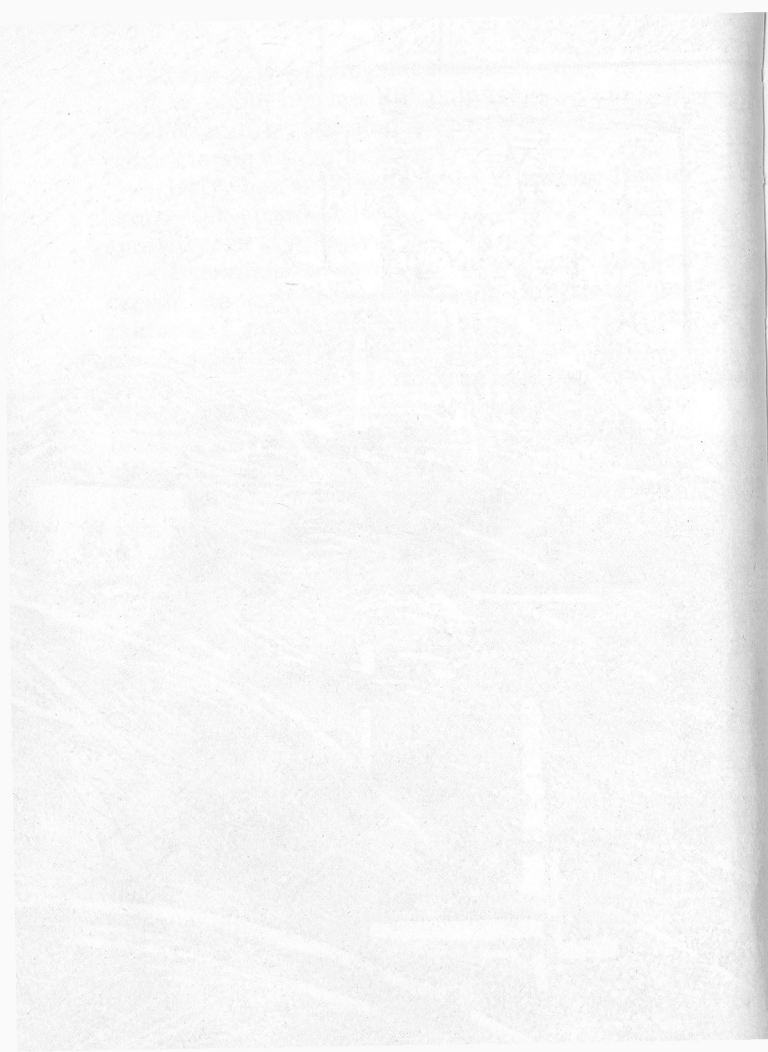
— Są tak piękne, jak je widzisz.

— „A ja wam powiadam, zaprawdę, że nawet Salomon w całej swej chwale nie był tak przyodziany jak każda z nich” — zacytowała słowa Chrystusa. Słuchając jej głosu, tak melodyjnego, wydało mi się, że słyszę te słowa po raz pierwszy.

— W całej swej chwale... — powtórzyła w zamysleniu; później umilkła, a ja powiedziałem:

— Mówiłem ci już, Gertrudo: ci, którzy mają oczy, nie umieją patrzeć.





I słyszałam, jak z głębi mego serca wznosi się ta modlitwa: „Dziękuję ci, Panie, że objawiasz maluczkiemu to, co skrywasz przed pysznymi!”

— Gdyby pan wiedział — wykrzyknęła wówczas w radosnym wzruszeniu — gdyby tylko mógł pan wiedzieć, jak łatwo wyobrażam sobie to wszystko! Proszę posłuchać! Czy chce pan, żebym opisała panu ten krajobraz? Za nami, powyżej i wokół nas są wysokie sosny pachnące żywicą, o pniach koloru wiśni i długich rozłożystych gałęziach, które skarżą się, gdy ugina je wiatr. U naszych stóp, jak otwarta księga rozłożona na pulpicie góry, rozpościera się wielka łąka, zielona i barwna zarazem, którą wyblękitnia cień i złoci słońce; słowami tej księgi są kwiaty — goryczka, sasanki, jaskry i piękne lilie Salomona — które krowy sylabizują dźwiękiem dzwonek i gdzie przychodzą czytać aniołowie, jeśli mówi pan, że oczy ludzi są zamknięte. Poniżej tej wspaniałej księgi widzę wielką mleczną rzekę, mglistą, pełną oparów zakrywających bez reszty bezmiar tajemnicy, rzekę ogromną, której jedynym brzegiem są tam, w oddali, przed nami — piękne, olśniewające Alpy. To właśnie tam ma jechać Jakub. Proszę powiedzieć: to prawda, że już jutro wyjeżdża?

— Powinien jutro wyruszyć. Powiedział ci to?

— Nie, ale zrozumiałam sama. Czy długo będzie nieobecny?

— Miesiąc... Gertrudo... Chciałem cię o coś zapytać... Dlaczego nie mówiłaś mi, że przychodził do ciebie do kaplicy?

— Odwiedził mnie tam dwa razy. Och! Nie chcę niczego ukrywać przed panem, ale obawiałam się, że sprawię panu przykrość.

— Sprawiałabyś mi przykrość nie mówiąc mi o tym.

Jej ręka poszukała mojej:

— Był smutny z powodu wyjazdu.

— Powiedz mi, Gertrudo... mówił ci, że cię kocha?

— Nie, ale równie dobrze czuję to bez słów. On nie kocha mnie tak bardzo jak pan.

— A ty, Gertrudo, czy cierpisz wiedząc, że wyjeżdża?

— Myślę, że tak będzie lepiej. Nie umiałabym mu odpowiedzieć.

— Ale powiedz, czy ty cierpisz z powodu jego wyjazdu?

— Pan wie dobrze, że to pana kocham, pastorze. Och, dlaczego cofa pan rękę? Nie powiedziałabym panu tego, gdyby nie był pan żonaty. Przecież nie poślubia się niewidomej, dlaczego więc nie mielibyśmy się kochać? Proszę mi powiedzieć, pastorze, uważa pan to za zło?

— Zło nigdy nie tkwi w miłości.

— Czuję w sercu tylko dobro. Nie chciałabym sprawić Jakubowi cierpienia. Nikomu nie chciałabym sprawić cierpienia... Pragnęłabym dawać tylko szczęście.

— Jakub zamierza poprosić o twoją rękę.

— Czy pozwoli mi pan porozmawiać z nim przed wyjazdem? Chciałabym dać mu do zrozumienia, że powinien przestać mnie kochać. Pan rozumie, pastorze, wszak prawda, że nie mogę

nikogo poślubić? Pozwoli mi pan porozmawiać z nim, prawda?

— Nawet dzisiaj wieczorem.

— Nie, jutro, w chwili samego odjazdu.

Słońce zachodziło już w jaskrawym przepychu. Powietrze było ciepłe. Wstaliśmy i rozmawiając cały czas ruszyliśmy mroczną drogą powrotną.

Zeszyt drugi

25 kwietnia

Bylem zmuszony odłożyć na pewien czas ten zeszyt.

Śnieg stopniał wreszcie i gdy tylko drogi stały się przejezdne, musiałem wywiązać się z wielu obowiązków, które odkładałem cały ten długi czas, kiedy nasza wioska była odcięta od reszty świata. Dopiero wczoraj udało mi się znaleźć kilka wolnych chwil.

Ostatniej nocy przeczytałem wszystko, co tu napisałem...

Dziś, gdy ośmielałem się nazwać po imieniu to uczucie, tak długo nie wyznane, z trudem pojmuję, dlaczego aż dotąd oszukiwałem się; jak to możliwe, że niektóre słowa Amelii, które przytoczyłem, mogły wydawać mi się zagadkowe; jak mogłem po naiwnych oświadczeniach Gertrudy wątpić jeszcze, że kocham ją. To dlatego, że nie zgadzałem się na uznanie jakiegokolwiek miłości poza małżeństwem i że w uczuciu, tak namiętnie popychającym mnie ku Gertrudzie, nie godziłem się dostrzec cze-
gokolwiek zakazanego.

Naiwność jej wyznań, ich świeżość utwierdzały mnie w tym. Mówiłem sobie: to jeszcze dziecko. Prawdziwa miłość nie przysłaby bez zmieszania i rumieńców. I ze swej strony wma-
wiałem sobie, że kocham ją tak, jak kocha się kalekie dziecko. Troszczyłem się o nią, pielęgnowałem ją tak, jak pielęgnuje się chorego —

a z porywu duszy uczyniłem sobie zobowiązanie moralne, obowiązek. Nawet tego wieczora, gdy rozmawiała ze mną, tak jak to opisałem, czułem się lekki na duszy i sercu, tak radosny, że oszukiwałem się jeszcze wtedy, gdy zapisywałem tę rozmowę. A ponieważ uważałbym za naganną taką miłość — a sądziłem, że wszystko, co naganne, łamie i wykrzywia duszę — nie czując jej ciężaru na sercu nie wierzyłem w nią.

Przytoczyłem nasze rozmowy nie tylko tak, jak przebiegały, ale zapisałem je w dodatku w zupełnie podobnym usposobieniu ducha i prawdę powiedziawszy, dopiero odczytując je tej nocy — zrozumiałem...

Wkrótce po wyjeździe Jakuba, z którym pozwoliłem Gertrudzie porozmawiać i który przyjechał tylko na ostatnie dni wakacji, przy czym unikał Gertrudy lub starał się rozmawiać z nią tylko przy mnie — nasze życie powróciło do swego dotychczasowego, spokojnego biegu. Gertruda, jak to zostało uzgodnione, zamieszkała u panny Luizy, gdzie odwiedzałem ją codziennie. Z obawy jednak przed tą miłością starałem się nie rozmawiać z nią już o niczym takim, co mogłoby nas niepotrzebnie wzruszać. Mówiłem do niej już tylko jako pastor, najczęściej w obecności Luizy, zajmując się przede wszystkim jej wychowaniem religijnym i przygotowując ją do pierwszej komunii, do której przystąpiła na Wielkanoc.

W dzień Wielkiejnocy ja także przyjąłem komunię.

Minęły odtąd dwa tygodnie. Ku memu zdziwieniu Jakub, który przyjechał spędzić z nami te dni, nie towarzyszył mi przy Świętym Stole. I z wielkim żalem wyznać muszę, że po raz pierwszy, odkąd jesteśmy małżeństwem, Amelia powstrzymała się również. Wydawało się, jakby oboje zmówili się i postanowili rzucić cień na moją radość, opuszczając to uroczyste spotkanie. Raz jeszcze myślałem, jakie to szczęście, że Gertruda nie widzi, dzięki czemu sam znośm brzemień mego smutku. Zbyt dobrze znam Amelię, bym nie potrafił dostrzec w jej postępowaniu tego, co stanowi pośredni wyrzut. Nigdy nie zdarza się jej zganić mnie otwarcie, ale stara się zawsze okazać swą dezaprobatę poprzez usunięcie się w cień.

Przejąłem się głęboko faktem, że pretensja tego rodzaju — chcę powiedzieć: taka, o której brzydzę się nawet myśleć — mogła do tego stopnia owładnąć duszą Amelii, że odwróciła się od swych najwznieśszych potrzeb. Toteż wróciwszy do domu modliłem się za nią w całej szczeroci serca.

Jeśli chodzi o decyzję Jakuba — wynikała z zupełnie innych motywów i pewna rozmowa, którą odbyłem z nim później, wyświeśliła mi je.

3 maja

Ucząc Gertrudę religii, odczytałem raz jeszcze na nowo Ewangelię. Uświadomiłem sobie wyraźniej, jak wiele pojęć, z których składa się nasza wiara chrześcijańska, pochodzi nie od słów Chrystusa, lecz z komentarzy świętego Pawła.

Było to właśnie tematem dyskusji, jaką odbyliśmy z Jakubem. Jakub ma temperament nieco oschły i serce nie dostarcza jego myślom wystarczającej pożywki; łatwo staje się tradycjonalistą i dogmatykiem. Zarzuca mi, że wyszukuję w doktrynie chrześcijańskiej „to, co mi się podoba”. A ja nie wybieram przecież tych czy tamtych słów Chrystusa. Po prostu mając do wyboru między słowami Chrystusa i świętego Pawła, wybieram Chrystusa. On zaś, z obawy, że będzie musiał ich sobie przeciwstawić, wzbrania się oddzielać jednego od drugiego, nie wyczuwając odmiennych inspiracji, i protestuje, gdy mu mówię, że tu słyszę człowieka, a tam Boga. Im bardziej Jakub stara się rozumować, tym bardziej przekonuje mnie co do jednego: że nie jest wrażliwy na jedyne boski akcent najdrobniejszego nawet słowa Chrystusa.

Wertuję Ewangelię, daremnie szukając przykazania, groźby, zakazu. To wszystko to tylko święty Paweł. I właśnie fakt, że nie znajduje tego w słowach Chrystusa — oto co dręczy Jakuba. Dusze jemu podobne uważają się za zagubione, gdy tylko nie czują przy sobie opiekunów, barier, poręczy. Co więcej, ledwo tolerują u kogoś innego wolność, z której rezygnują i chcą uzyskać za tę podległość to wszystko, co jest dla nich przeznaczone w imię miłości.

— Ależ, ojciec — powiedział — ja także pragnę szczęśliwości ludzkich dusz.

— Nie, mój chłopcze; ty pragniesz ich uległości.

— Bo właśnie w poddaniu tkwi szczęście.

Zostawiłem mu ostatnie słowo, gdyż nie lubię sprzeczać się o drobiazgi; wiem jednak dobrze, jak łatwo utracić można szczęście dążąc doń takim postępowaniem, które — przeciwnie — powinno wypływać tylko ze szczęścia; i jeśli prawdą jest, że dusza kochająca raduje się swym dobrowolnym poddaniem, to przecież nic bardziej nie niweczy szczęścia jak taka uległość bez miłości.

Zresztą Jakub rozumuje poprawnie i gdybym nie bolał, że w tak młodym umyśle znajduję tyle doktrynalnej sztywności, podziwiałbym bez wątpienia celność jego argumentów i konsekwencję jego logiki. Wydaje mi się często, że jestem od niego młodszy; że jestem młodszy dziś, niż byłem wczoraj — i powtarzam sobie słowa Chrystusa: „Jeśli nie staniecie się podobni dzieciom, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”.

Czy jest zdradą Chrystusa, pomniejszaniem i profanowaniem Ewangelii, jeśli upatruje się w niej przede wszystkim „metodę osiągnięcia życia szczęśliwego”? Stan radości, któremu stoją na przeszkodzie nasze zwątpienia i zatwardziałość naszych serc, jest dla chrześcijanina stanem obowiązkowym. Każda istota jest mniej lub bardziej zdolna do radości. Każda istota powinna dążyć do radości. Jeden uśmiech Gertrudy poucza mnie o tym bardziej niż ją — moje nauki.

I te słowa Chrystusa objawiły mi się w pełnej jasności: „Gdybyście byli niewidomi, nie mielibyście grzechu”. Grzechem jest to, co

przygnębia duszę, co przeciwstawia się jej radości. Doskonale szczęście Gertrudy, które promienieje z całej jej istoty, pochodzi właśnie stąd, że nie zna ona grzechu. Jest w niej tylko jasność, miłość.

Dałem do czytania jej wrażliwym dłoniom cztery Ewangelie, psalmy, księgę Apokalipsy i trzy listy świętego Jana, gdzie mogła między innymi przeczytać te słowa: „Bóg jest światłem i nie ma w nim ciemności”, tak jak w jego Ewangelii mogła wysłuchać Zbawcę mówiącego: „Jestem światłością świata, ten, kto jest ze mną, nie pogrąży się w ciemnościach”. Wzbrańam się dać jej do czytania listy świętego Pawła, bo przecież jeśli będąc niewidomą nie zna grzechu — po cóż niepokoić jej umysł pozwalając na przeczytanie tych chociażby słów: „Grzech ożył przez związek z przykazaniem” (*Do Rzymian*, VII, 13) i całą tę dalszą dialektykę, choć tak jest godna podziwu?

8 maja

Doktor Martins przyjechał wczoraj z La Chaux-de-Fonds. Długo badał oczy Gertrudy oftalmoskopem. Powiedział, że rozmawiał o Gertrudzie z doktorem Roux, specjalistą z Lozanny, z którym ma podzielić się wynikami swych obserwacji. Obydwaj są zdania że Gertruda może być operowana. Uzgodniliśmy jednak, że nie powiemy jej nic, dopóki sprawa nie będzie pewna. Martins ma przyjechać jeszcze, by poinformować mnie o wynikach konsultacji. Po cóż budzić w Gertrudzie nadzieję, która mogła-

by szybko zgasnąć? Zresztą — czyż nie jest szczęśliwa, gdy jest tak jak teraz?...

10 maja

Na Wielkanoc Jakub i Gertruda zobaczyli się w mojej obecności — przynajmniej Jakub ujrzał znów Gertrudę i rozmawiał z nią, ale tylko o sprawach nic nie znaczących. Był mniej wzruszony, niż się obawiałem, i przekonuję się ponownie, że gdyby jego miłość była prawdziwie żarliwa, nie dałaby się tak łatwo zniszczyć, nawet mimo oświadczenia Gertrudy, tuż przed jego wyjazdem w ubiegłym roku, że to uczucie pozostać musi bez żadnej nadziei na wzajemność. Skonstatowałem, że mówi teraz do niej „pani”, i tak jest na pewno lepiej, chociaż nie prosiłem go o to; zadowolony jestem, że zrozumiał to sam. Jest w nim bezsprzecznie wiele dobrego.

Niemniej jednak podejrzewam, że to poddanie się losowi nie nastąpiło bez wewnętrznej walki i oporu. Szkoda tylko, że ów przymus, któremu poddał się, wydaje mu się teraz dobry sam w sobie; życzyłby sobie nawet, by inni poddawali się podobnym ograniczeniom; wy czułem to podczas dyskusji, jaką odbyłem z nim i którą opisałem powyżej. Czy to nie Rochefoucauld mawiał, że rozum daje się często oszukiwać sercu? Rzecz jasna, nie ośmieliłem się wytknąć tego od razu Jakubowi, znając jego charakter i uważając go za jednego z tych, co to wszelką dyskusję traktują tylko jako okazję, by jeszcze bardziej upierać się przy swoim; ale znalazłszy wieczorem — i to właśnie u świę-

tego Pawła — stosowną odpowiedź (gdyż mogę go pobić jedynie jego własną bronią), zostawiłem w jego pokoju bilecik, na którym mógł przeczytać: „Niech ten, kto nie je, nie osądza tego, który spożywa, gdyż Bóg wysłuchał tego ostatniego” (*Do Rzymian, XIV, 2*). Równie dobrze przepisać mógłbym ciąg dalszy: „Wiem i jestem przekonany w Panu Jezusie, że nie ma niczego, co by samo przez się było nieczyste, a jest nieczyste tylko dla tego, kto je za takie uważa” — ale nie ośmieliłem się, z obawy by Jakub nie przypisał mi, w związku z Gertrudą, jakiejś krzywdzącej go oceny, co nie powinno nawet musnąć jego myśli. W przytoczonym cytacie chodzi, rzecz jasna, tylko o pożywienie; ale czyż wiele innych fragmentów Pisma nie zmusza nas do przypisywania im podwójnego lub potrójnego sensu? („Jeśli twoje oko”...; pomnożenie chlebów, cud na uczcie w Kanie etc.) Nie chodzi o to, by spierać się o sprawy mało istotne; znaczenie tego wersetu jest rozległe i głębokie: wszelkie ograniczenie nie powinno być narzucane prawem, lecz miłością, toteż święty Paweł zaraz potem dodaje: „Gdy więc swym stanowiskiem w sprawie pokarmu zasmucasz swego brata, nie postępujesz już zgodnie z miłością”. To właśnie z braku miłości atakuje nas Szatan. Boże! Usuń z mego serca wszystko, co nie jest miłością... Gdyż myliłem się, prowokując Jakuba; nazajutrz znalazłem na swoim stoliku ten sam bilet, z tamtym werselem; na odwrocie karteczki Jakub wypisał po prostu inny fragment z tego samego rozdziału: „Swym pożywieniem nie po-

woduj nigdy zguby tego, za kogo umarł Chrystus" (*Do Rzymian*, XIV, 15).

Przeczytałem raz jeszcze cały rozdział. To punkt wyjścia dyskusji nieskończonej. I ja miałbym dręczyć tymi zgryzotami Gertrudę, zaciemniać tymi chmurami jej jasne niebo? Czyż nie jestem bliżej Chrystusa i czy nie utrzymuję jej samej bliżej Niego, gdy nauczam i pozwalam jej wierzyć, że jedynym grzechem jest to, co godzi w szczęście bliźniego lub naraża na szwank nasze własne szczęście?

Niestety! Niektóre dusze są szczególnie odporne wobec szczęścia — niepodatne, niezręczne... Myślę o mojej biednej Amelii. Prowadzę ją ku niemu bezustannie, zachęcam, zmuszałbym nawet. Tak, chciałbym każdego podnieść do Boga. Ale ona uchyla się stale, zamyka w sobie jak te kwiaty, których nie rozwinie już żadne słońce. Wszystko, co widzi, niepokoi ją i martwi.

— Cóż chcesz, mój drogi — powiedziała kiedyś — nie dane mi było urodzić się niewidomą.

Ach! Jakże bolesna jest dla mnie jej ironia i ile trzeba mi sił, by nie pozwolić, aby zmaćciła spokój moich myśli. A przecież wydaje mi się, że powinna rozumieć, iż ta aluzja do kalectwa Gertrudy zrani mnie szczególnie. Amelia daje mi zresztą odczuć, że to, co przede wszystkim podziwiam w Gertrudzie, to jej nieskończona dobroć: nigdy nie słyszałem, by wyrażała najmniejszy żal wobec kogoś. Prawdą jest jednak, że nie pozwalałem jej doświadczyć niczego takiego, co mogłoby ją zranić.

I tak samo, jak dusza szczęśliwa promieniując miłością rozsiewa wokół siebie tylko szczęście, tak wokół Amelii wszystko staje się mroczne i ponure. Amiel napisałby pewnie, że jej dusza wysłała czarne promienie. Kiedy po długim, ciężkim dniu wizyt u biednych i chorych wracam zmęczony, często późną nocą, z sercem natarczywie domagającym się odpoczynku, uczucia, ciepła — znajduję najczęściej w moim domu kłopoty, wyrzuty i gderanie, od których tysiąc razy wolałbym już ziąb, wiatr i ulewę na dworze. Wiem dobrze, że nasza stara Rozalia stale chce wszystko robić po swojemu, ale nie zawsze przecież nie ma racji i zdarza się, że Amelia niesłusznie zmusza ją do ustępstw. Wiem też dobrze, że Karolina i Kacper są bardzo niesforni; ale czyż Amelia nie uzyskalaby więcej, gdyby krzyczała na nich nieco ciszej i rzadziej? Przecież te ciągle polecenia, upomnienia i wymówki tracą wreszcie swą ostrość, jak te kamyki na plaży; i bardziej dokuczają mnie niż dzieciom. Wiem wreszcie dobrze, że małemu Klaudiuszowi wyrzynają się ząbki (tak przynajmniej utrzymuje jego matka, za każdym razem gdy zaczyna krzyczeć), ale czyż to nie ona sama zachęca go do tych wrzasków przybiegając natychmiast do jego łóżeczka — ona albo Sara — i tuląc go bezustannie? Jestem przekonany, że nie płakałby tak często, gdyby pozwoliła mu parę razy wykrzyczeć się do woli, oczywiście wtedy gdy nie ma mnie w domu. Ale wiem także, że biegną do niego czym prędzej właśnie wtedy, gdy mnie nie ma. Sara upodabnia się coraz bardziej do matki, co

powoduje, że chciałbym już oddać ją na pensję. Niestety, nie przypomina matki w czasie, gdy byliśmy narzeczeństwem, ale taką, jaką uczyniły z niej codzienne troski i, powiedziałbym, kultywowanie życiowych kłopotów (gdyż Amelia niewątpliwie kultywuje je). Trudno byłoby mi dziś rozpoznać w niej tego anioła, który witał niegdyś życzliwym uśmiechem każdy szlachetny poryw mojego serca, anioła, którego tak bardzo pragnąłem nierozdzielnie złączyć ze swoim życiem i który kierował mnie ku światłu... — czy też może to miłość wówczas zwodziła mnie? Nie dostrzegam u Sary innych zainteresowań, jak tylko pospolite; tak jak matka, Sara jest w stanie zająć się wyłącznie przyziemnymi sprawami; nawet rysy jej twarzy, nie uduchowione żadnym wewnętrznym płomieniem, są posępne i jakby stwardniałe. Żadnego upodobania dla poezji ani w ogóle dla lektury; nigdy nie zdarzyło mi się usłyszeć jej rozmowy z matką, w której miałbym ochotę wziąć udział — toteż bardziej odczuwam swe osamotnienie w ich obecności niż wówczas, gdy chronię się w swym gabinecie, co zdarza mi się ostatnio coraz częściej.

Od jesieni, zachęcony szybkim zapadaniem zmroku, nabrałem także zwyczaju odwiedzania panny de la M... w porze przedwieczornej herbaty, gdy tylko pozwalały mi na to moje wizyty, to znaczy, gdy wracałem do domu w miarę wcześnie. Nie powiedziałem jeszcze bowiem, że od pałdziernika Luiza de la M... wychowuje wraz z Gertrudą trójkę małych ociemniałych; to Martins zaproponował, by powierzyć te

dziewczynki opiece panny de la M...; Gertruda uczy je czytać i wykonywać różne ręczne robotki, w których już okazują pewną zręczność. Jakiż to wypoczynek i odprężenie dla mnie, gdy wkraczam w pełną ciepła atmosferę „Stodoły”, a jak mi tego brak, gdy niekiedy — przez dwa lub trzy dni — nie mogę się tam wyrwać. Panna de la M... jest dostatecznie zamożna, by wychowywać u siebie Gertrudę i te małe pensjonariuszki bez kłopotów i obawy o środki na ich utrzymanie. Pomagają jej z wielkim oddaniem trzy służące, oszczędzając całej fatygi. Ale czyż można powiedzieć, że ktoś kiedykolwiek bardziej zasłużył na majątek i odpoczynek?

Luiza de la M... zawsze wiele zajmowała się biednymi; jest to dusza głęboko religijna, która bezustannie udziela się na tej ziemi i żyje umiłowaniem bliźniego. Mimo niemal zupełnie już srebrnych włosów, które nakrywa koronkowym czepeczkiem, nie ma niczego bardziej dziecięcego niż jej uśmiech, bardziej harmonijnego niż jej ruchy, bardziej melodyjnego niż jej głos. Gertruda przejęła jej maniery, sposób mówienia, a także ów szczególny rodzaj intonacji nie tylko głosu, ale powiedziałbym nawet, że i myślenia, słowem cały jej sposób bycia — z tego podobieństwa żartuję sobie to z jedną, to z drugą, chociaż żadna z nich nie chce się do niego przyznać. Jakże mi jest przyjemnie, gdy mogę u nich zostać trochę dłużej, patrzeć na nie, gdy siedzą obok siebie: Gertruda wspiera swą główkę na ramieniu przyjaciółki lub trzyma swą rękę w jej dłoniach

i przysłuchują się czytany przez mnie wierszom Lamartine'a lub Hugo; jakże mi miło kontemplować odbłask tej poezji w ich kryształowych duszach! Nawet trzy małe uczennice nie pozostają na nią obojętne. W atmosferze spokoju i miłości te dzieci rozwijają się wręcz nadzwyczajnie i czynią wyraźne postępy. Kiedy panna Luiza napomknęła kiedyś, że należałoby je uczyć tańczyć — zarówno dla higieny, jak i przyjemności — zrazu uśmiechnąłem się niedowierzająco; dziś jednak podziwiam rytmiczny wdźwięk ich ruchów, którego one same nie potrafią, niestety, ocenić. Luiza de la M... przekonuje mnie jednak, że chociaż one same nie widzą gracji swych ruchów, to odczuwają jednak ich harmonię. Gertruda przyłącza się do tańca z czarującym wdźwiękiem i sprawia jej to zresztą wielką przyjemność. Niekiedy nawet Luiza de la M... bierze udział w zabawie malców, a Gertruda siada wtedy do pianina. Jej postępy w muzyce są zadziwiające; obecnie każdej niedzieli grywa na organach w kaplicy, przedzielając krótkimi improwizacjami nabożne pieśni. Każdej niedzieli przychodzi do nas na obiad; dzieci witają ją z radością, chociaż ich gusty różnią się coraz bardziej. Amelia nie przejawia zbytnej nerwowości i posiłek upływa bez zbędnych spięć. Potem całą rodziną odprowadzamy Gertrudę i jemy podwieczorek w „Stodole”. Jest to dla moich dzieci prawdziwe święto, bo Luiza uwielbia rozpieszczać je, częstując łakociami. Nawet Amelia, która nie jest obojętna na świadczone grzeczności, odpręża się wreszcie i wydaje się

o wiele młodsza. Myślę, że odtąd już trudno byłoby Amelii — przy nudnym trybie jej życia — obejść się bez tych beztroskich chwil wytchnienia.

18 maja

Teraz, gdy powracają piękne dni, mogłem znowu wyjść na spacer z Gertrudą, co nie zdarzyło mi się już od dawna (gdyż jeszcze ostatnio miały miejsce nowe opady śniegu i aż do ostatnich dni drogi były w okropnym stanie); od dawna nie byliśmy również sami we dwoje.

Szliśmy szybko; świeży, wiosenny wiatr ru-mienił jej policzki, rozwiewał i rozrzucał na twarz jasne włosy. Gdy mijaliśmy torfowisko, zerwałem kilka kwitnących kwiatków, których łodygi splotłem z kosmykami jej włosów i — by się trzymały — wsunąłem pod берет.

Nic sobie jeszcze nie powiedzieliśmy, jakby zdumieni, że znów oto znaleźliśmy się razem, we dwoje — gdy Gertruda zapytała nagle, zwracając ku mnie niewidome oblicze:

— Czy sądzi pan, że Jakub kocha mnie jeszcze?

— Postanowił wyrzec się ciebie — odpowiedziałem szybko.

— Ale czy myśli pan, że on wie, że pan mnie kocha? — zapytała.

Od tej rozmowy ubiegłego lata, którą przytoczyłem wcześniej, upłynęło ponad pół roku i ani jedno słowo o miłości (aż się temu dziwie) nie padło między nami. Jak już powiedziałem — nigdy w tym czasie nie byliśmy

tylko we dwoje, i nawet lepiej, że tak było... Pytanie Gertrudy sprawiło, że serce zaczęło mi walić tak mocno, iż zwolnić musiałem kroku.

— Ależ, Gertrudo, wszyscy wiedzą, że cię Kocham — wykrzyknąłem. Ale nie dała się zwięść:

— Nie, nie, pan nie odpowiada na moje pytanie.

A po chwili podjęła z opuszczoną głową:

— Ciocia Amelia wie o tym; a ja, ja wiem, że to jest powodem jej smutku.

— Byłaby smutna i bez tego — zaoponowałem niepewnym głosem. — Smutek leży w jej usposobieniu...

— Och! Pan zawsze stara się mnie uspokoić — powiedziała ze zniecierpliwieniem — ale ja nie chcę, żeby mnie uspokajano. Wiem, że jest wiele spraw, których nie chce mi pan dać poznać z obawy, by mnie nie niepokoić lub nie sprawiać mi bólu; jest wiele spraw, o których nie wiem. Tak, że niekiedy...

Jej głos stawał się coraz bardziej cichy, wreszcie zamilkła, jakby u kresu tchu. A gdy powtarzając jej ostatnie słowa zapytałem:

— Że niekiedy?...

Odparła smutno:

— Tak, że wydaje mi się niekiedy, iż całe szczęście, jakie panu zawdzięczam, oparte jest na mojej nieświadomości.

— Ależ, Gertrudo...

— Nie, proszę mi pozwolić dokończyć: nie chcę takiego szczęścia. Proszę zrozumieć, że ja... nie... Nie zależy mi, abym była szczęśliwa. Wolę wiedzieć. Z pewnością wiele jest

spraw, smutnych spraw, których nie jestem w stanie zobaczyć, ale których nie ma pan prawa przede mną ukrywać. Podczas tej zimy wiele przemyślałam; widzi pan — obawiam się, że cały ten wielki świat nie jest wcale tak piękny, jak każe mi pan wierzyć, pastorze, a nawet że wiele mu do tego brakuje.

— To prawda, że człowiek często szpeci ziemię — stwierdziłem bojaźliwie, gdyż tok jej myśli napawał mnie strachem i próbowałem zmienić jego kierunek, wątpiąc zresztą, że mi to się uda. Wydawało się, że oczekiwała tych słów, gdyż chwytając je niczym ogniwo, które spina łańcuch, wykrzyknęła:

— Właśnie! Chciałabym mieć pewność, że nie przysparzam zła.

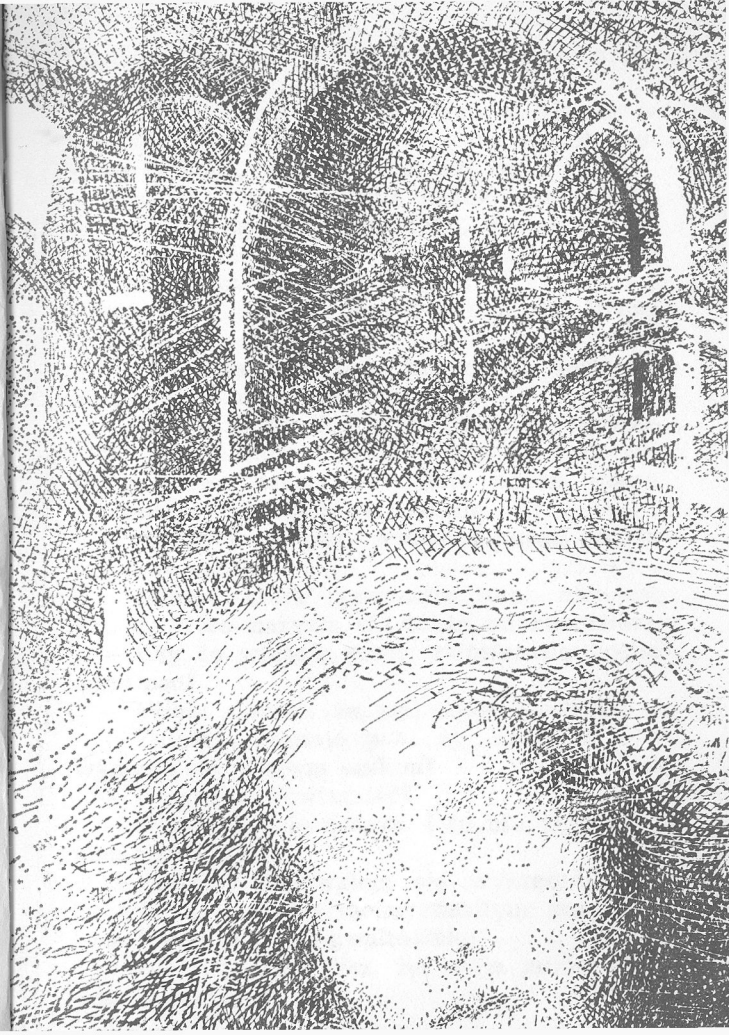
Przez dłuższy czas szliśmy szybko w milczeniu. Wszystko, co mógłbym jej powiedzieć, rozbiłoby się — czułem to doskonale — o jej wcześniejsze przemyślenia; obawiałem się wywołać słowa, od których zależałby nasz dalszy los. A na myśl o tym, co powiedział Martins — że, być może, da się przywrócić jej wzrok — wielki niepokój ścisnął mi serce.

— Chciałabym pana zapytać — podjęła wreszcie rozmowę — ale nie wiem, jak to powiedzieć...

Z pewnością odwoływała się do całej swej odwagi — tak jak i ja odwoływałem się do mojej, by słuchać. Ale jakże mógłbym przewidzieć wątpliwość, która ją dręczyła:

— Czy dzieci niewidomej zawsze rodzą się niewidome?

Nie wiem, kogo z nas dwojga rozmowa ta



męczyła bardziej; ale nie można było już za-
trzymać się.

— Nie, Gertrudo — odparłem — jedynie w
wyjątkowych wypadkach. Nie ma nawet żad-
nego powodu, aby tak musiało być.

Wydawała się ogromnie uspokojona.

Chciałem zapytać ją z kolei, dlaczego pyta
mnie o to, ale zabrakło mi odwagi i niezręcz-
nie kontynuowałem rozmowę.

— Ależ Gertrudo, żeby mieć dzieci, trzeba
być zameźną.

— Niech mi pan tego nie mówi, pastorze.
Wiem, że to nieprawda.

— Powiedziałem to, co godzi się ci powie-
dzieć — zaprotestowałem. — Ale w rzeczywi-
stości prawa natury pozwalają na to, czego
zabraniają prawa ludzkie i boskie.

— A mówił mi pan często, że prawa boskie
to prawa miłości.

— Miłość, która przemawia tutaj, nie jest
już tą, która nazywa się także miłosierdziem.

— Czy to właśnie przez miłosierdzie kocha
mnie pan?

— Wiesz dobrze, że nie, moja Gertrudo.

— Zatem przyznaje pan, że nasza miłość
wymyka się prawom boskim?

— Co chcesz powiedzieć?

— Och! Pan wie dobrze, i to nie ja powin-
nam o tym mówić.

Na próżno usiłowałem się wykręcać; ser-
ce biło na przekór moim rozbitym argumen-
tom. Wykrzyknąłem gwałtownie:

— Gertrudo... Myślisz, że twoja miłość jest
grzeszna?

— Że nasza miłość... — sprostowała. — Pomyślałam sobie, że powinnam o tym pamiętać.

— A zatem?

Pochwyciłem jakiś błagalny ton w swoim głosie. A ona dokończyła jednym tchem:

— Ale nie mogę przestać pana kochać.

To wszystko zdarzyło się wczoraj. Początkowo wahałem się, czy napisać o tym... Nie wiem już, jak skończyła się ta przechadzka. Wracaliśmy pośpiesznie, jakby uciekając, a ja mocno przycisnąłem do siebie jej ramię. Dusza moja do tego stopnia opuściła ciało, iż wydawało mi się, że najmniejszy kamyk na tej drodze sprawi, że oboje runiemy na ziemię.

19 maja

Dziś rano przyjechał Martins. Gertruda może być operowana. Roux potwierdza to i prosi zarazem, by powierzyć mu ją na jakiś czas. Nie mogę się sprzeciwić, a jednak tchórzliwie poprosiłem o czas do namysłu. Poprosiłem, by pozwolono mi przygotować ją łagodnie... Moje serce powinno skakać z radości, a tymczasem czułem, że ciąży mi jakimś niewysłowionym niepokojem. Na myśl, że będę musiał powiadomić Gertrudę, iż — być może — da się jej przywrócić wzrok, opuszcza mnie wszelka odwaga.

19 maja, nocą

Znów widziałem Gertrudę i nie powiedziałem jej o niczym. W „Stodole”, dziś wieczorem, gdy nikogo nie było w salonie, wszedłem po schodach do jej pokoju. Byliśmy sami.

Długo tuliłem ją do siebie. Nie uczyniła ani jednego gestu, by się bronić, i gdy podniosła ku mnie twarz — nasze usta spotkały się...

21 maja

Czy to dla nas, Panie, uczyniłeś tę noc tak głęboką i piękną? Czy dla mnie? Na dworze jest ciepło, księżyc zagląda przez otwarte okno, a ja słucham tej niezmierzonej ciszy niebios. O, głuche uwielbienie wszelkiego stworzenia, w którym roztapia się moje serce w ekstazie bez słów... Mogę modlić się już tylko jak szaleniec. Jeśli są jakieś granice miłości, Boże, nie pochodzą one od Ciebie, lecz od ludzi. Jeśli moja miłość wydaje się grzeszna w oczach ludzi, och! — powiedz, że w Twoich jest święta.

Staram się wznieść ponad ideę grzechu. Ale grzech wydaje mi się nie do zniesienia, a ja wcale nie chcę porzucić Chrystusa. Nie, to nieprawda, że grzeszę kochając Gertrudę. Nie mogę wyrwać tej miłości ze swego serca inaczej, jak tylko wrywając sobie serce — dlaczego? Gdybym nawet nie kochał jej już, musiałbym kochać ją przez litość dla niej; nie kochać jej znaczyłoby zdradzić ją: ona potrzebuje mojej miłości...

Boże, sam już nie wiem... Znam tylko Ciebie. Prowadź mnie. Wydaje mi się czasem, że pogrążam się w ciemnościach i że wzrok, który ma być jej zwrócony — został odjęty mnie.

Gertrudę zabrano wczoraj do kliniki w Lozannie, skąd ma wyjść dopiero za dwadzieścia

dni. Oczekuję jej powrotu z wielkim lękiem. Martins ma ją nam przywieźć. Zmusiła mnie, bym jej obiecał, że nie będę się starał odwiedzać ją w klinice.

22 maja

List od Martinsa: operacja powiodła się. Niech Pan Bóg będzie pochwalony!

24 maja

Myśl, że ona musi mnie zobaczyć, ona, która kochała do tej pory nie widząc mnie wcale — ta myśl wywołuje niepokój nie do zniesienia. Czy rozpozna mnie? Po raz pierwszy w życiu pytam się luster. Jeśli odczuję, że jej spojrzenie jest dla mnie mniej życzliwe, niż było jej serce, i mniej kochające — cóż pocznę? Boże, wydaje mi się niekiedy, że potrzebuję jej miłości, abym mógł kochać Ciebie.

27 maja

Nawał pracy pozwolił mi przeżyć te ostatnie dni bez zbytnej niecierpliwości. Błogosławię każde zajęcie, które odrywa mnie od samego siebie; mimo to całymi długimi dniami jej obraz nie odstępuję mnie, wзира zewsząd.

To już jutro ma wrócić. Amelia, która w tym tygodniu okazywała mi jedynie najlepsze strony swego charakteru i zdaje się dokładała wszelkich starań, bym zapomniał o nieobecnej, przygotowuje się teraz z dziećmi, aby uczcić jej powrót.

28 maja

Kacper i Karolina zerwali wszystkie kwiaty, jakie tylko udało im się znaleźć w pobliskich zagajnikach i na łąkach. Stara Rozalia piecze ogromny tort, który Sara przyozdabia sam już nie wiem jak wymyślnymi ornamentami ze złoczonego papieru. Oczekujemy jej dziś w południe.

Piszę, żeby zabić czas oczekiwania. Jest godzina jedenasta. Co chwilę podnoszę głowę i spoglądam na drogę, którą zajechać ma pojazd Martinsa. Powstrzymuję się od wyjścia na ich spotkanie: lepiej, także ze względu na Amelię, być razem przy tym powitaniu. Moje serce podrywa się... ach! To oni!

28 maja, wieczorem

W jakich strasznych ciemnościach pogrążam się! Litości, Boże, litości! Wyrzekam się kochać ją, ale Ty nie pozwól, by umarła!

Jakże ja miałem rację, że byłem pełen obaw! Co ona zrobiła? Co chciała uczynić? Amelia i Sara powiedziały mi, że odprowadziły ją aż do drzwi „Stodoły”, gdzie panna de la M... czekała na nią. Nagle Gertruda zapragnęła wyjść... Co się stało?

Staram się wnieść trochę ładu w swe myśli. Relacje, jakie słyszę, są niezrozumiałe albo sprzeczne. Wszystko mąci mi się w głowie...

Ogrodnik panny de la M... przyniósł ją, nieprzytomną, do „Stodoły”. Powiedział, że widział, jak szła wzdłuż rzeki, później przeszła ogrodowy mostek, potem pochyliła się, a następnie zniknęła mu z oczu; ale nie przyszło

mu do głowy, że upadła, i nie przybiegł natychmiast, jak powinien był uczynić; odnalazł ją przy małej służce, dokąd poniósł ją nurt wody. Kiedy ujrzałem Gertrudę, nie odzyskała jeszcze przytomności; a raczej ponownie popadła w omdlenie, gdyż dzięki podjętym natychmiast zabiegom przysła na chwilę do siebie.

Martins, który — Bogu dzięki — nie wyjechał jeszcze, nie umie sobie wytłumaczyć tego stanu odrętwienia i apatii, w jaki popadła; na próżno wypytywał ją: wydawało się, że nie słyszy albo że postanowiła milczeć. Jej oddech jest ciężki i Martins obawia się zapalenia płuc; zastosował gorczycznik i bańki, obiecał wrócić jutro. Popełniliśmy błąd, pozostawiając ją zbyt długo w przemoczonem ubraniu, podczas gdy zajmowano się głównie reanimacją — woda w rzece jest lodowata. Panna de la M..., której jako jedynej osobie udało się usłyszeć kilka jej słów, utrzymuje, że chciała zebrać niezapominajki, które gęsto porastają brzeg, i że straciła nagle grunt pod nogami, nie przyzwyczajona prawidłowo oceniać odległość i wzięwszy za twarde podłoże ów pływający dywan kwiatów... Gdybym tylko mógł w to uwierzyć! Przekonać się, że to był tylko wypadek... Jakiż straszny ciężar spadłby mi z serca! Podczas wspólnego posiłku, spożywanego przecież w tak radosnym nastroju, niepokoił mnie dziwny uśmiech, który nie schodził z jej twarzy; uśmiech wymuszony, jakiego nie znałem u niej przedtem; tłumaczyłem sobie, że to jest uśmiech jej odzyskanego wzroku. Wydawał się spływać z oczu na twarz jak łzy —

przy tym uśmiechu pospolita radość pozostałych razila mnie. Ona nie dzieliła ich radości! Jakby odkryła jakiś sekret, który powierzyłaby mi bez wątpienia, gdybym był z nią sam. Nie mówiła prawie nic, ale nie dziwiono się temu zbyt, gdyż zawsze zachowywała się tak w obecności innych, a im bardziej oni bywali wylewni, tym ona bardziej stawała się milcząca.

Boże, błagam Cię, pozwól mi z nią porozmawiać. Muszę wiedzieć, gdyż inaczej — jakże będę mógł żyć? A jeśli rzeczywiście chciała przestać żyć — to czy dlatego, że dowiedziała się? Dowiedziała się — ale czego? Moje biedne kochanie — czego takiego straszego dowiedziałaś się? Cóż takiego zabójczego ukrywałem przed tobą, co nagle mogłaś zobaczyć?

Spędziłem ponad dwie godziny u wezgłowia łóżka, nie spuszczaćc oczu z jej twarzy, białych policzków, delikatnych powiek, ukrywających niewypowiedziany smutek, z jej włosów, jeszcze mokrych i podobnych do wodorostów, rozpostartych wokół głowy na poduszce, wsłuchując się w jej ciężki, utrudniony oddech.

29 maja

Panna Luiza przysłała po mnie dziś rano, gdy zamierzałem właśnie pójść do „Stodoły”. Po dosyć spokojnej nocy Gertruda wyszła wreszcie ze stanu odrętwienia. Gdy wszedłem do pokoju, uśmiechnęła się do mnie i dała mi znak, bym się zbliżył i usiadł u wezgłowia. Nie śmiałem jej o nic pytać, a i ona zapewne

obawiała się moich pytań, bo odezwała się natychmiast, chcąc uprzedzić moje słowa:

— Jak właściwie nazywacie te małe niebieskie kwiatuszki, które chciałam zerwać nad rzeką? Te, które mają kolor nieba... Jest pan zreczniejszy ode mnie... Czy zechciałby pan zrobić z nich dla mnie bukiet? Będę go miała tu, przy łóżku...

Sztuczna wesołość jej głosu sprawiała mi ból i z pewnością zrozumiała to, bo dorzuciła poważniej:

— Nie mogę dziś z panem rozmawiać; jestem zbyt zmęczona. Proszę pójść i zerwać dla mnie te kwiaty, dobrze? Zaraz pan wróci...

I gdy w godzinę później przyniosłem dla niej bukiet niezapominajek, panna Luiza powiedziała mi, że Gertruda znowu odpoczywa i nie będzie mogła przyjąć mnie przed wieczorem.

Wieczorem ujrzałem ją znowu. Ułożone na łóżku poduszki podtrzymywały ją w pozycji prawie siedzącej. Niezapominajki, które przyniosłem, wplecione miała w zebrane i upięte nad czołem włosy.

Miała z pewnością gorączkę i wydawała się bardzo zmęczona. Przytrzymała w swej rozpalonej dłoni rękę, którą wyciągnąłem na powitanie; tak stałem przy niej.

— Powinnam coś panu wyznać, pastorze, gdyż obawiam się, że tego wieczoru umrę — powiedziała. — Skłamałam panu dziś rano... To nie stało się dlatego, że chciałam zerwać kwiaty... Wybacz mi pan, gdy powiem, że chciałam się zabić?

Upadłem na kolana przy jej łóżku, trzymając jej kruchą rączkę w dłoni; ale ona uwolniła rękę i zaczęła głaskać mnie po głowie, bo wcisnąłem twarz w prześcieradło, żeby ukryć łzy i stłumić szloch.

— Czy uważa pan to za wielkie zło? — podjęła łagodnie; a potem, ponieważ nic nie odrzekłem, dodała:

— Mój kochany, mój przyjacielu, sam pan widzi dobrze, że zajmuję zbyt wiele miejsca w pańskim życiu i w pańskim sercu. Spostrzegłam to natychmiast, gdy tylko wróciłam do was, a przynajmniej zauważyłam, że miejsce, które zajmuję, jest miejscem kogoś innego, i że ten ktoś martwi się tym i smuci. Moja wina polega na tym, że nie wyczułam tego wcześniej, a przynajmniej — bo przecież zorientowałam się dosyć szybko — że pozwoliłam panu kochać mimo wszystko. Ale gdy ujrzałam nagle jej oblicze, gdy zobaczyłam na jej twarzy tyle smutku, nie mogłam już dłużej znieść myśli, że ten smutek jest moim dziełem... Nie, niech pan sobie nie wyrzuca niczego; ale niech mi pan pozwoli odejść, a jej przywróci radość.

Jej dłoń przestała głaskać moje włosy; uchwyciłem ją, pokrywając pocałunkami i łzami. Ale wyrwała niecierpliwie rękę i ogarnął ją nowy niepokój:

— Nie, to nie to, co chciałam powiedzieć, to nie to, co chcę powiedzieć — powtarzała; i zobaczyłem kropelki potu zraszającego jej czoło. Później opadła na poduszki i zamknęła oczy jakby po to, by skoncentrować myśli lub

odnaleźć utracony świat ciemności... I najpierw powoli, zrozpaczonym głosem, który wkrótce podniósł się, gdy otworzyła oczy, a potem narastał aż do krzyku — zaczęła mówić:

— Kiedy daliście mi wzrok, oczy otworzyły mi się na świat piękniejszy, niż mogłam to sobie wyobrazić; tak, doprawdy, nie wyobrażałam sobie dnia tak jasnego, tak błyszczącego powietrza, tak rozległego nieba. Ale nie wyobrażałam sobie również tak bardzo zachmurzonych ludzkich twarzy; a gdy weszłam do was — pan wie już, co spostrzegłam przede wszystkim... Ach, trzeba jednak, żebym powiedziała to panu: to, co zobaczyłam, to był nasz błąd, nasz grzech. Nie, proszę nie zaprzeczać, proszę nie protestować. Pamięta pan słowa Chrystusa: „Gdybyście byli niewidomi, nie mielibyście grzechu”? Ale teraz widzę go... Proszę wstać, pastorze. Proszę usiąść tu przy mnie. Proszę mnie wysłuchać i nie przerywać mi. Kiedy byłam w klinice, przeczytałam pewne fragmenty Biblii, których nie znałam, których nigdy mi pan nie czytał. Przypominam sobie jeden werset ze świętego Pawła, który powtarzałam cały dzień: „Kiedyś i ja żyłem bez prawa; ale gdy przyszło przykazanie, grzech ożył, a ja umarłem”.

Mówiła w stanie najwyższej egzaltacji, bardzo głośno, a ostatnie wyrazy wykrzyknęła prawie, co sprawiło, że zmieszałem się na myśl, że mógłby to ktoś usłyszeć. Później znów zamknęła oczy i powtórzyła te ostatnie słowa szeptem, jakby dla siebie samej:

— Grzech ożył, a ja umarłam...

Zadrzałem, z sercem zlodowaciałym od strachu. Chciałem zawrócić jej myśli:

— Kto przeczytał ci te wersety? — zapytałem.

— Jakub — powiedziała, otwierając oczy i przyglądając się mi uważnie. — Czy pan wie, że on przeszedł na katolicyzm?

To było zbyt wiele dla mnie; chciałem błagać ją, by milczała, ale mówiła już dalej:

— Mój przyjacielu, sprawię ci wiele bólu; ale nie trzeba, żeby pozostał między nami jakikolwiek fałsz. Kiedy ujrzałam Jakuba, zrozumiałam nagle, że to nie pana kochałam, lecz jego. On miał dokładnie pana twarz; chcę powiedzieć taką, jaką wyobrażałam sobie, że ma pan... Ach! Dlaczego kazał mi pan go odepchnąć? Mogłabym go poślubić...

— Ależ, Gertrudo, możesz jeszcze! — wykrzyknąłem z rozpaczą.

— On wstępuje do klasztoru — powiedziała gwałtownie.

Później wstrząsnął nią płacz: „Ach! Chciałabym wypowiedać się przed nim... — szlochająca w uniesieniu. — Pan wie dobrze, że pozostaje mi już tylko umrzeć. Chce mi się pić. Proszę kogoś zawołać! Duszę się! Zostawcie mnie samą... Ach! Myślałam, że doznam większej ulgi, gdy wszystko panu powiem. Proszę mnie zostawić! Rozstańmy się. Nie zniosę dłużej pańskiego widoku!...”

Opuściłem ją. Zawołałem pannę de la M..., aby usiadła przy niej. Gorączkowe podniecenie Gertrudy napawało mnie niepokojem, ale musiałem sam siebie przekonać, że moja obec-

ność źle wpływa na jej stan. Poprosiłem, aby zawiadomili mnie, gdyby się pogorszyło.

30 maja

Niestety! Dane mi było już tylko ujrzeć ją pogrążoną we śnie. Umarła dziś rano, o święcie, po przygnębiającej nocy pełnej majaków. Jakub, wezwany depeszą przez pannę de la M.. na ostatnią prośbę Gertrudy, przybył kilka godzin po wszystkim. Zarzucił mi okrutnie, że nie wezwałem księdza, gdy był jeszcze czas. Ale jakże miałem to zrobić, przecież nie wiedziałem, że podczas pobytu w Lozannie — nakłoniona z pewnością przez niego — Gertruda wyrzekła się naszej wiary. Oznajmił mi też od razu, że i on, i Gertruda zmienili wyznanie. W ten sposób opuściły mnie jednocześnie te dwie istoty; mogło wydawać się, że rozdzieleni przeze mnie za życia, postanowili uciec ode mnie i połączyć się w Bogu. Ale przekonuję się, że w przypadku Jakuba więcej tu rozumu niż miłości.

— Mój ojciec — powiedział mi — nie wypada, abym cię oskarżał; ale to właśnie przykład twojego błędu wskazał mi drogę.

Po wyjeździe Jakuba uklęknałem obok Amelii prosząc, by modliła się za mnie, gdyż potrzebowałem pomocy. Ona odmówiła po prostu *Ojciec nasz*, czyniąc między zdaniem modlitwy długie przerwy, pełne przytłaczającej ciszy, którą wypełniało nasze błaganie.

Chciałem płakać, ale serce miałem bardziej wyschłe niż pustynia.

